



ROK LVIII

Kobieta
MISŁY GODNIOWE I LUSTROWANE DLA KOBIEK

NR 41

WARSZAWA, 10 PAŹDZIERNIKA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Aktualne refleksje o wychowaniu—*St. K.* „International Federation Of University Women”—*Helena Falewicz*. Wyrodna matka—*H. C.* Świat kobiety (c. d.)—*Maria Grossek-Korycka*. Kątka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku—*R. M. Blüth*. Krościenko (dok.)—*N. Samotyłowa*. Wiersze—*Wila Dmowska*. Najdalsza droga (dok.)—*Marja Dąbrowska*. Z powodu dolarów (c. d.)—*Joseph Conrad (Józef Korzeniowski)* tłumaczyła *Teresa Tatarkiewiczowa*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłaszewska*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z książek—*C. W.* Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Oryginalny czepeczek. Gdy liście opadną...—*W. D.* Jak się robi modę—*Eska*. Z dziedziny kosmetyki—*Dr. J. Świńska*. Ogólno polski zjazd ogrodnicy i wystawa we Lwowie—*Stan Schönfeld*. Bażant—*J. S.* Z przedsiębiorstw i szpizarni amerykańskiej—*Kazimiera Dziekowska*. Kłopoty jesienne—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre Rady. Korespondencje. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians” — (c. d.) *Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*). „Nasze sprawy”, Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. ARKUSZ WZORÓW.

AKTUALNE REFLEKSJE O WYCHOWANIU



Mając dziś w zdemokratyzowanej Polsce wśród t. zw. inteligencji i półinteligencji sporo „ludzi nowych”, którzy całą kulturę zawdzięczają szkołom różnego stopnia, widzimy może wyraźniej, że wiedza i nauka jeszcze o kulturze całkowicie nie przesądzają. Naturalnie

widzą to tylko ci, których kultura oparta jest na czemś więcej, niż na wiedzy, choćby najlepszymi metodami dydaktycznymi wprowadzonej do intelektu. To też ludzie, kładący większy nacisk na wartość charakteru, niż na zdolności w tej, czy innej dziedzinie nauki, czy praktycznego fachu—zwykli wtedy powtarzać sakramentalny frazes o tem, że rodzina, tradycje—dają prawdziwe podwaliny dobrego wychowania. Zdaje im się, że byle tę prawdę zrozumieć—najważniejsza kwestja już jest rozwiązana.

W rzeczywistości jednak dylemat jest tylko zażegnany—frazesem. Różne bywają rodziny, różnej wartości tradycje i mniemania w poszczególnych domach. Zresztą i pierwsze pokolenie inteligencji, czerpiące całą kulturę ze szkół także będzie stanowiło kiedyś szereg rodzin. Czyż przez sam fakt, że założą rodzinę—stworzą atmosferę tradycji i środowisko kształtowania pięknych charakterów?! Ideały, wpajane tradycyjnie w znacznych domach musiały się także wziąć skądś, przez sam fakt społeczny

życia rodzinnego nie powstały, gdyż cały szereg rodzin pielęgnuje również i hasła spaczone, lub zgoła problematycznej wartości społecznej lub moralnej. Ideały, „brały się” ze szlachetnych skłonności w naturze ludzkiej i zawsze tylko z tego jednego źródła powstawać będą: etyka zbiorowa, obyczajowość są tylko społeczną formą ich istnienia—rodzina i szkoła mniej lub więcej dobrą ich krzewicielką.

Oczywiście na tę krzewicielkę rodzina nadaje się stokroć więcej, niż szkoła, gdyż przykład życiowy, wpływ uczuciowy codzienny i obyczaj, kształtujący nieustannie skłonności znaczą więcej, niż morał lub hasło. Rola rodziny pod tym względem jest choćby dlatego większa, że podejmuje ona całość kształtowania, podczas gdy szkoła dopełnia to wychowanie tylko jednostronnie, biorąc na siebie ćwiczenie intelektu i dostarczanie wiedzy. W skład tej, lub owej rodziny i szkoły wchodzić mogą jednostki o wrodzonych szlachetnych skłonnościach i przyczyniać się bądź drogą propagandy, bądź drogą przykładu do wszczęcia w duszę dzieci pewnej ideologii, rozwijania dobrych skłonności—ale to jeszcze nie wszystko. Pocieszanie się frazesem, że czego nie robi szkoła, to powinna dać rodzina, sumy idealizmu nie pomnoży. Miłość ideału jest z natury swej... imperjalistyczną i musi nią być, gdyż „walka z szatanem” jest wieczna i trudna;

zdaje się nawet, że pozostanie zawsze walką z przeważającym liczebnie wrogiem. Sam fakt stanowienia rodziny może pogłębiać wobec powagi zadań, podświadomie tkwiące szlachetne instynkty jeżeli istniały, ale ich nie tworzy. Składać więc winy wszystkiego na nią nie można. Prócz indywidualnych organów ideałów, które są charaktery, istniały zawsze inne organy tworzenia i rozpowszechniania ideologii, będące na służbie jej „imperjalizmu“. Istnieli zawsze twórcy religij, moralisci, prawodawcy, poeci, którzy tworzyli ideologię, głosili ją. Przechwalona najczęściej rodzina i szkoła czerpały wiele od nich. Dziś, gdy między innymi i pisma stały się takimi organami — warto uświadomić sobie jaśniej parę kwestyj wychowania dotyczących, które wszyscy mniej lub więcej jasno czujemy.

Pozytywizm, socjalizm raczej spopularyzowane ich odmiany zaciężyły nad wychowaniem ostatnich lat kilkudziesięciu w formie atmosfery zmaterializowania.

Sprzyjał tej atmosferze brak dobrobytu u większości jednostek społecznych. Idealizm społeczny lub narodowy, obejmujący tylko wąski kompleks wartości moralnych i głoszony przez jednostki, szerszego wpływu nie wywarł. Estetyzm grupy literackiej „modernistów“ i ich epigonów wprowadził był arystokratycznym antagonistą zmaterializowania, bo obcy moralności tworzył ideologię tylko dla wyrafinowanych artystów dostępną. Po hegemonii hasła praktyczności w wychowaniu, swoiście i wąsko pojmowanej przez zmaterializowane społeczeństwo, dziś przyszła kolej w wychowaniu na jednostronny intelektualizm. Mówię to oczywiście nie o kierunkach w pedagogice naukowej, lub o prądach, nurtujących garstkę pedagogów ideologów, lecz o pedagogice, uprawianej praktycznie przez większość. Mam wrażenie, że pisząc o przechyleniu się wychowania u większości w kierunku intelektualizmu, wywołam zdziwienie, mimo że stwierdzam rzecz oczywistą. Ten intelektualizm jest zresztą dobrą konsekwencją pojmowania wychowania przez zmaterializowane społeczeństwo. Ogółowi rodzin przyświecał w wychowaniu cel, by dzieciom dać „chleb w rękę“, inaczej mówiąc fach, któryby popłacał, pozwolił ewentualnie wznieść się w hierarchii społecznej. Z chwilą gdy szerszy ogół zrozumiał, że przygotowaniem do fachu, dającego chleb i możliwość wzniesienia się lub utrzymania na pewnym stopniu społecznym jest szkoła, gimnazjum, uniwersytet, wogóle wiedza — „skończenie“ jakiegoś zakładu i osiągnięcie pewnej sumy wiedzy przepisanej stało się niemal symbolem celu, koroną wychowania. Mnóstwo młodzieży ganie się do wiedzy, większość jest ku niej napędzana. Ma to oczywiście mnóstwo stron dodatnich — chodzi tylko o uniknięcie jednostronności. Ideologia pedagogów, będących zawsze w stosunku do rodzin mniejszością, jednostronności tej nie przewycięży i frazes o podwalinach, jakie daje dom rodzicielski nie zbawi, bo chodzi właśnie o przekonanie owych rodzin, że należy przeciwstawić coś jednostronności intelektualnego wychowania, jakie daje szkoła, o to

by one zrozumiały wszystkie tej jednostronności skutki.

Niema chyba żadnego innego społeczeństwa, w którymby tak często jak u Polaków powtarzano wyświechtany frazes, że „teoria a praktyka to dwie różne rzeczy“. Sama częstość powtarzania tego frazesu wskazuje rzeczywiście na właściwość polskiego umysłu, na jego zmysł rzeczywistości i nieufność do abstrakcyj. Niestety długi czas jedynym praktycznym skutkiem powtarzania tego frazesu, było w większości rozbudzenie nieufności do teorii, czy też nauki i wiedzy — skutek był więc tylko negatywny. Ci tak rzekomo „praktyczni“ i „trzeźwi“ ludzie nie zdobyli się na myśl, że można wogóle uczynić coś, co przepaść między teorią a praktyką wypełni, nie rozumieli nawet tego, że cały postęp pedagogiki, poczynszy od czasów Komisji Edukacyjnej szedł właśnie w tym kierunku, by między teorią a praktyką, nauką i życiem była coraz silniejsza łączność. Bezmyślności, z jaką ten frazes powtarzano, najlepiej dowodzi to, że ludzie powtarzają go tak samo często i dziś, gdy dbając jedynie o to, by dziecko „coś skończyło“, miało patent, czy dyplom — spychają wychowanie na tory jednostronnego intelektualizmu. To też chociaż ten frazes wciąż rozbrzmiewa — coraz większą rzadkością jest mądrość życiowa, a „chłopski rozum“ stał się legendą, czy też jakimś niedościgłym ideałem. Tak jaskrawo rzucające się w oczy w życiu społecznym doktrynerstwo, które znajdujemy wszędzie, poczynszy od projektów sejmowych, a skończywszy na manifestach artystycznych, jest tylko symptomem zaniku mądrości życiowej, owego „chłopskiego rozumu“, a dowodem abstrakcyjności i zaniku zmysłu rzeczywistości i zdolności do obejmowania szerokich horyzontów życiowych.

Wymyślamy na teorie i przepisy, co powstały „przy biurku“, ale naogół wychowujemy tak, że pozostają tylko dwie alternatywy: albo ciemnota i kultuństwo albo „kultura“ ludzi „od biurka“, „ludzi książki“ „ludzi pióra“ — tymczasem prawdziwych ludzi niema i mądrość życiowa zanika. Zdaje mi się, że to Schiller przeprowadzał słuszną różnicę między człowiekiem wykształconym, a posiadającym wiedzę. Przypominał on, że kształcić „bilden“ znaczy czynić to samo, co rzeźbiarz (Bildhauer) czyni z posągami. Wyćwiczenie sprawności myślenia i napełnienie śpichrza pamięci nie kształtuje całego człowieka i ten, kto tylko to posiadał, nie jest człowiekiem wykształconym w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Tę myśl godzi się dziś wciąż przypominać.

Cóż uczynić jednak, by zgubnej jednostronności tej hegemonii intelektualizmu w wychowaniu zapobiec? Czy powracać do romantyzmu, apoteozować uczucie, apoteozować naturę i prawić o wyższości intuicji nad rozumem? Bynajmniej. Wytaczając wojnę jednostronemu intelektualizmowi nie należy wpadać w jednostronność romantyków.

Ojcowie, prawiący tyle o praktyczności (a w praktyce robiący co innego, dbając tylko o to, by dzie-

się uczyły) muszą tylko zrozumieć to... co powinno trafiać w ich upodobania praktyczne: Jak najwięcej zbliżeń między dzieckiem a konkretną rzeczywistością! Zabawa u dzieci jest instyktownym uprawianiem się w funkcje życiowe, które ma wykonywać człowiek dorosły. Szczytem marzeń dzieci, jest taka zabawa, „żeby wszystko było prawdziwe“, tak jak u dorosłych. Szczęśliwy i trafny instykt. Im zabawka bardziej wymyślna, oderwana od życia i praktyki potocznej życia, abstrakcyjniejsza — tem gorzej. Chłopak, mający paść owce, czy żrebacki, posługujący stelmachowi lub kowalowi, dziewczynka, wyręczająca matkę, pod pewnym względem podlegają bez świadomości o tem ich rodziców — najlepszym metodom pedagogicznym: Obcując z przyrodą, obcując z rzemiosłem, rozstrzygając różne drobne, domowe sprawy uczą się żyć, uczą się mądrości życiowej. Uczą się dopasowywania sprawności myśli i rąk do rzeczywistości. Uczą się cierpliwości obserwowania, uwagi, pracy, a jednocześnie te cnoty nie są podawane wtedy w formie przymusu, suchych słownych nakazów, których wartości zrozumieć przecie nie są w stanie. Tu cnotliwość, uwaga, praca, obowiązkowość uwidacznia im natychmiast w formie skutku ich czynności całą swą wartość. Dzieci nie mogą mieć silnego poczucia prawa, wszak czci dla tych abstrakcyj, prawnych przepisów nie ma i dorosły człowiek mało uspołeczniony, ale rozumie wartość musu, przepisu i metody i dziecko, gdy widzi konkretny rezultat postępowania, gdy coś dzięki nim zrobiło, coś osiągnęło. — Dzieci same garną się do tego, wykradanie się do kuchni, czy do stajni, chętne obcowanie ze służbą, świadczy o ich znowu trafnym instyktcie, o potrzebie stykania się z rzeczywistością, od której ich siłą i gderaniem izolują. Broniąc im tego, chroni się dzieci od słuchania przekleństw i nieprzyzwoitości (które nawiasem mówiąc usłyszy w bardziej wyrafinowanej i szkodliwej formie w szkole), ale naraża się je na stratę stokroć większą, zubożenia duchowego, odrywanie od tej jedynej rzeczywistości, która jest dla nich dostępniejszą, bo prostszą, bliższą ich poziomowi.

Dzieci, wychowywane w mieście właściwie poddawane są systematycznej izolacji od przyrody, od zwierząt, od mnóstwa zjawisk i prac, które mogłyby obudzić ich myśl i wyobraźnię. Nieograniczona możliwość kształcenia zmysłu rzeczywistości i kształcenie sprawności w wielostronnem z nią obcowaniu w mieście zostaje zredukowana do żalu godnego ubóstwa. Siedząc w pudełku, czerpią wiedzę o życiu z opowiadań, książek, obrazków, wycinanek — całego arsenału sztucznych preparatów, żalonych na-

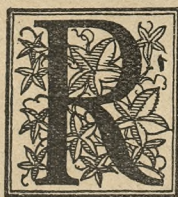
miastek rzeczywistości i bujnego życia. Trudno, nie wszyscy mogą wychowywać dzieci w jedynej dla nich odpowiedniej atmosferze wsi. Ale w mieście nieraz — zależy to tylko często od taktu i inwencji rodziców, można pracować nad tem, by przeciwdziałać takiemu życiu dziecka, które sprowadza się do biernego przyjmowania przez jego umysł różnych abstrakcyjnych wizerunków życia i myśli o życiu. I tam znajdzie się miejsce na stykanie się z rzeczywistością poprzez napoły pracę, napoły zabawę. W tem stykaniu się z rzeczywistością przez wykonywanie drobnych prac, które dziecko wykonać może, a które go jednocześnie bawią lub zajmują, nie tylko kształci się zmysł rzeczywistości, nietylko cierpliwość i uwaga, ale również przedsiębiorczość, hart i odwaga, bo życie w każdej formie nastęcza pewne trudności i przeciwności, których pokonywanie nie nauczy świat sztuczną, złożoną z zabawek, obrazków i książek tendencją.

Mogę na zasadzie szeregu obserwacji stwierdzić, że na ogół u nas dziecko jest od życia izolowane po to... by później do życia go przystosowywać drogą moralów, nakazów, książek, obrazków ćwiczeń gimnastycznych i wszelkich tego rodzaju wyabstrahowanych treści i czynności. Później dziwimy się, że u ludzi dorosłych brak jest mądrości życiowej, a krzewi się niezaradność, doktrynerstwo, niezrozumienie dla całego szeregu zjawisk, niezrozumienie ludzi. Recept ogólnikowych wychowania dać nie można, środowisko domowe każdego dziecka nastęcza nieskończoną ilość możliwości. Instykt dzieci, o którym już wspomniałam, ich dążności do tego, aby swą zabawę zbliżyć do tego „co jest naprawdę“, skwapliwość z jaką lubią, w miarę sił, starszych wyręczyć, żywe zainteresowanie, z jakim słuchają opowiadań o życiu, o wspomnieniach ludzi starszych, ich garnięcie się do ludzi prostych, pracujących fizycznie, myślących konkretnemi obrazami daje najlepsze wskazówki dla wychowawców — trzeba je tylko umieć wyzyskać i unieść pokierować. Najlepsze pogładowe metody nowoczesne, uprawianie sztuk pięknych w szkole, powiastki o szlachetnych tendencjach, gimnastyka i harcerstwo — wszystkie te najlepsze środki pedagogiczne nie będą w stanie wynagrodzić t. j. stworzyć należytej przeciwwagi do tego kultywowania intelektualizmu, jakiemu poddana jest indywidualność dziecka, zamkniętego w pudełku wielkomiejskiego mieszkania i zmuszonego do ładowania umyśtu wiedzą z książek, jeśli rodzice w codziennem z dziećmi obcowaniu nie dadzą dowodów, że charakter i zmysł rzeczywistości cenią sobie więcej od patentów szkolnych.

St. K.



„INTERNATIONAL FEDERATION OF UNIVERSITY WOMEN“



ok rocznie polskie wyższe uczelnie opuszcza znaczna ilość kobiet, które zdobyły dyplomy. Kobiety te wchodzą w życie, pracują w swych zawodach, służą państwu i społeczeństwu.

Praca ich jest trudna. Kobieta musi walczyć z wieloma przesadami i zdobywać z wielkim wysiłkiem należne jej stanowisko.

Naogół kobieta z wyższem wykształceniem spotyka na drodze swej pracy zawodowej większe trudności, niż posiadający te same kwalifikacje mężczyzna.

Dzieje się to nietylko u nas, ale i w innych państwach zachodnich. Kobiety zachodu uświadomiły sobie, że trzeba zaradzić złu i oto w Londynie powstaje pierwszy „Związek Kobiet z wyższem wykształceniem“, który następnie pracuje nad stworzeniem Federacji Związków poszczególnych państw, pracuje nad stworzeniem organizacji silnej: skutecznie dopomagającej kobietom w osiągnięciu należnych im stanowisk w świecie.

„International Federation of University Women“ liczy już obecnie po ostatnim kongresie w Christjanji, odbytym w roku ubiegłym aż 20 związków narodowych.

Wchodzą w jej skład związki następujących państw:

Stanów Zjednoczonych, Anglii, Austrii, Australii, Belgii, Kanady, Czechosłowacji, Danii, Finlandji, Francji, Holandji, Włoch, Indji, Irlandji, Nowej Zelandji, Norwegji, Południowej Ameryki, Hiszpanji, Szwecji, Szwajcarji.

Obecnie Federacja nawiązuje kontakt z kobietami w Bułgarji, Chinach, Japonji, Grecji, Niemczech, Węgrzech, Meksyku i, co nas najbardziej interesuje, z Polską. Federacja chciałaby, by kobiety wykształcone polskie stworzyły Związek, któryby mógł wejść w skład Federacji.

Tak więc federacja jest ligą kobiet, kobiet posiadających wyższe wykształcenie.

W skład Federacji wchodzić poszczególne narodowe związki, obdarzone autonomją. Celem Federacji jest nawiązanie koleżeńskich stosunków między kobietami wykształconymi różnych narodowości, stworzenie solidarności w łonie jednej organizacji, która będąc silną i wpływową, będzie pomagała poszczególnym związkom w osiągnięciu celów wspólnych wszystkim kobietom: równouprawnienia i pomocy w pracy.

Ażeby ułatwić porozumienie się między krajami, Federacja stara się wymieniać studentki, jak również profesorów prywatnych uniwersytetów, zakłada też kluby w różnych miastach.

Świetnie zorganizowane kluby egzystują już w Washingtonie, w Paryżu, Londynie, w New-Yorku, Baltimore, Filadelfji w Brukselli, w Montreal, a w Rzymie i Atenach kluby takie są w trakcie organizowania się. Aby utrzymać stosunki międzynarodowe, każdy związek narodowy wyznacza dwie osoby ze swego grona dla reprezentacji na zewnątrz.

Podróże ułatwiane są przez stypendja, które posiada sama Federacja, a do których dołączają się również stypendja różnych stowarzyszeń narodowych.

Na kongresie w Christjanji Federacja postanowiła zebrać milion dolarów dla stworzenia nowych stypendjów. Suma ta wydaje się fantastyczną, Federacja jednak ma nadzieję, że ją zdobędzie.

Jednym z poważnych celów „International Federation of University Women“ jest współpraca z różnymi organizacjami narodowymi, tym sposobem chce Federacja pogłębić współzycie między poszczególnymi narodami.

Czyż my Polki nie powinnyśmy współpracować z pożyteczną organizacją, czyż nie powinnyśmy stanąć obok innych, wykształconych kobiet świata i czy słusznem jest, że wśród tylu narodowości, wchodzących w skład Federacji, brak... Polski.

Helena Falewicz.

A F O R Y Z M Y

Kobiecie wolno być odważną i mądrą — ale pod warunkiem, że tego wcale nie będzie po niej znać.

Nie każdy potrafi odróżnić szatańską pychę od anielskiej dumy.

ZOFJA ZAWISZANKA

„WYRODNA MATKA“

Dotykamy w tej chwili najsmutniejszej, najtragiczniejszej strony kobiecego życia.

Dotykamy, nie po to, aby potępić lub płatki frazesów kłaść na krwawiącą ranę, lecz by wczuwając się w sytuację, poszukać sposobów na zło, które obecnie szerzy się wprost jak złowroga epidemia.

„Wyrodna Matka“.

„Niema dnia, by pisma brukowe nie zanotowały pod tym nagłówkiem jakiejś wstrząsającej tragedii, by nie zaopatrzyły notatki specjalnie złośliwą uwagą, by nie cisnęły kamieniem w winowajczynię.“

Wyrodna Matka!

Postać z koszmaru...

...młoda, blada, niespokojna, w zniszczonych sukienkach włóczy się po lasach, po wygonach, w podółku dzieciątko umarłe niesie... zakopie je pod sosną, zagrzebie je w piasku... przysypie mu oczka gliną i ucieknie... wyrodna...

W wielkiem mieście — do bramy pałacu się wślizgnie, skorzysta z nieobecności wspaniałego portjera, podłoży dziecię bogatej pani pod drzwi, zostawi je na nienewne losy, na śmierć z zimna i głodu... albo po przedmieściu się snuje... do glinianki gdzieś wrzuci, w nieczystościach utopi... ohyda!..

Jakże się potem na niej pióro oburzonego dziennikarza mścił!..

Wyrodna, wyklęta, potępiona, nietylko przez opinię. Ściga ją także prawo, sprawiedliwość wymierza wyroki aż do kary śmierci włącznie.

No... cóż?..

Społeczeństwo musi karać za zagładę ludzkiego istnienia. Trupek zamordowanego dzieciątka woła z mogiły...

Tylko że to dzieciątko miało przecież nietylko matkę, która je urodziła i zabiła... Ono miało także ojca, który...

Tu sprawa komplikuje się. Matka jest „wyrodna“, ojciec „wyrodny“ nie jest. Ojciec jest niewiadomy.

On który uwiódł, oszukał, przyrzekał małżeństwo, oświadczał miłość...

Jego czoła nie naznaczono stygmatem hańby, jego nie wytykano palcami, nie wyrzucano go na bruk z powodu spodziewanego przyjścia na świat dziecka, po fakcie nie odmawiano mu pracy, nie ciążył na nim obowiązek utrzymania małżeństwa, a gdy dziecko zniknęło, nikt go nie niepokoi, nie poszukuje

go żadna władza, nie czeka żaden sąd..

Chyba dziwak jakiś, a prędeż dziwaczka nazwie go „moralnym sprawcą zbrodni“.

A przecież on tak samo był ojcem, jak ona była matką dziecięcia.

Dali mu życie w nielegalnym związku...

Zaprawdę, dziwnie, przedziwnie ukształtowało się sumienie ludzkości.

Obyczaj i prawo występują bezwzględnie tylko przeciw jednej stronie, tej słabszej, tej która i tak ponosi wszystkie fizjologiczne koszty, związane z przyjściem na świat nowego człowieka.

Psychiczne źródła dzieciobójstwa są odwiecznie te same: porzucenie przez kochanka, wstyd, nędza — a więc rozpacz duchowe i brak materialny. A wszystko to godzi w ofiarę swoją w chwili, gdy organizm jej jest gwałtownie i głęboko wstrząśnięty przemianami, które w nim zaszły, burzą męczarni, które przeciwiała. Przemiany te tak mocno oddziałują na psychikę kobiety, że od legalnej małżonki i matki odsuwa się wtedy troskliwie wszystko, co mogłoby spowodować wstrząs nerwowy.

Ale od nielegalnej nikt niczego nie usuwa. Przeciwnie: skaczą jej do oczu z jej opuszczeniem i hańbą, rodzina ją wyklina, obcy szydzą, rywalka urąga swem szczęściem, on okazuje obojętność i wzgardę... gdy do tego dołączy się nędza, głód, niemożliwość uzyskania pracy „z dzieckiem“, gdy dołączą się przeżycia bezdomnego, ganiego zewsząd zwierzęcia, czyż dziwo, że na plan pierwszy, zmęczonej tyłoma wstrząśnieniami świadomości wysunie się w końcu idea zbrodni, pokusa usunięcia niewinnej przyczyny wszystkich tych udręczeń?!.. Pokusa, sycona rozpaczą bierze górę nad najpotężniejszym ze wszystkich, nad wrodzonym instynktem macierzyństwa.

Tu mógłby ktoś wystąpić z zarzutem, że jednak są takie, które z największym poświęceniem cho-

wają swe nieślubne dzieci, wbrew ludziom. wbrew losom...

No, oczywiście, różne są dusze, różne też bywają warunki i okoliczności.

To pewne, że gdy zajdzie fakt dzieciobójstwa, winowajczynią nie jest wyłącznie „ona“, „wyrodna matka“. Ta wina rozkłada się na tak wielu!..

A przytem w żadnym innym wypadku chyba nie spotyka się tylu okoliczności łagodzących. Tylko niechże sprawy takiej nie sądzą mężczyźni! Bo jest w takim sądzie przeraźliwie gorzka ironja, bo poczuciu sprawiedliwości wymierza się tym sposobem bajeczny policzek... Cóż oni wreszcie wiedzieć mogą o tym obłędzie poponurym, co przeciwstawia się najsilniejszej ze wszystkich uczuć — miłości macierzyńskiej?!..

To od strony prawnej i od strony psychologicznej zagadnienia. Ale istnieje jeszcze strona społeczna tej smutnej sprawy.

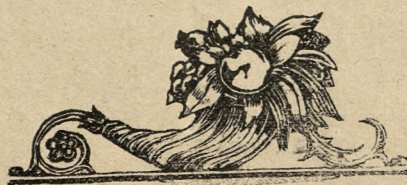
Coraz żywiej zajmują się tą kwestją zreszenia kobiece, wysuwając jako najważniejszy postulat poszukiwanie ojcostwa, a w następstwie tej prawodawczej reformy zorganizowanie „kas ojcowskich“, do którychby dotychczas „niewiadomi“, a wtedy już odszukani ojcowie wpłacali oznaczoną część swoich dochodów na wychowanie i kształcenie dzieci nieślubnych. Byłaby to reforma zasadnicza i niewątpliwie kładąca kres straszliwej epidemii dzieciobójstw.

Przypuszczamy jednak, że spotka się z opozycją szerokich kół, i to naturalnie w imię rodziny i jej prestiżu. Czyżby dla prestiżu rodziny konieczna była hekatomba niemowląt nieślubnych, ginących z nędzy, niedozoru, braku opieki lub złej opieki, a wreszcie z rąk zropanzonych matek. Nie, temi argumentami walczyć nie będzie można.

Zanim przyjdzie do zasadniczej zmiany ustaw w tych sprawach podniosły się w społeczeństwie usiłowania, by kłesce, choć częściowo, zaradzić. Istnieje w Warszawie bardzo interesująca instytucja, która pomaga matkom nieślubnym do spełnienia ich macierzyńskich obowiązków.

O instytucji tej podamy szczegółowe informacje w jednym z najbliższych numerów.

Tu pragnęlibyśmy tylko pierwszym dotknięciem poruszyć doniosłe i bolesne zagadnienie. H. C.



MARJA GROSSEK-KORVCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

19

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE



ahartowana jest na wzrok i na dotyk męski, skądżeby mogła być dawną sensitivą i jak dawniej wzbierać się byle wieprzykowi: noli me tangere...

Wszystkie zjawiska opisują łuki koncentryczne, wiążące się w jedną kopulastą syntezę, w program, w którym wszystko się trzyma jedno z drugim tak, że trzeba wszystko przyjąć, jeżeli się wszystkiego nie odrzuca.

Choć troską pofałdowały się czoła moralistów, choć serca matek drżą niepokojem o te kochane, zuchwałe dziewczęta — musieliśmy przystać na te wszystkie swobody, bo tak chce omnipotencja życia... Przyjmijmyż teraz do wiadomości — spokojnie, bez rozdzierania szat — konsekwencję nowych obyczajów:

Kobieta się nie wstydzi.

Wstydlivość była może tak jak bojaźliwość, raczej produktem wychowania?

Zdaje się być już przesądzonem, że wstyd był obcym Greczynce i Rzymiance? Ich kultury religijne zawierają w sobie rzeczy dla nas zdrożne... procesje religijne obnosiły symbole, dla których trudno by nam było znaleźć nazwę?!

Ale kobieta nie brała udziału w życiu publicznem, w życiu świątyni, z wyjątkiem kobiet specjalnych. Kto wie, jaką była uczuciość Kobiety rodzinnej, zamkniętej w gynecium? Westalki dają do myślenia?! Niepokalaność musiała być w uczuciu kobiety i znajdować się w wysokiej cenie, skoro ślubowała ją kapłanka!... Zresztą nikt o tem nic na pewno nie wie... La Grande Muette nie zapisała swoich zwierzeń na żadnej piramidzie, na żadnym papirusie...

Zaden historyk nie wydobędzie ich na świat z pergaminów. Mężczyzna po wszystkie czasy hodował dla siebie dwie biegunowo różne kategorie kobiet: białą na żonę — płomienną na kochankę. Obie dają się odszukać w każdej epoce — i obie nic nam o sobie nie powiedzą.

Nasza mimozowość, kobiety europejskiej, jest niewątpliwie więcej dziełem kultury rycersko chrześcijańskiej, niż wrodzo-

nem usposobieniem. Obyczaj chrześcijański strzegł kobiety przed mężczyzną, usuwał ją od niego. Dziewczęta często nie znały z bliska żadnego mężczyzny prócz ojca i brata. Panienska z arystokracji francuskiej tańczyła tylko jedna z drugą na białych balach (bals blancs). Tancerz opasał kibić jej ramieniem nie pierwej, aż została mężatką.

Wstydlivość była ochroną gronostaja — mimożą wychodowaną w cieplarniach chrześcijaństwa.

Wstydlivość jest piętnem chrześcijanki.

Życie powybijało gronostaje — potłukło szklane dachy oranżeryj: mimoży pomarzęły.

Wolno niewzruszonej obojętności nie wstydzic się spokojnie, na zimno Tonawet dobrzewyglada! Gdy wzrok umie utrzymać jak nalince, dystans! — a uśmiech zacina, jak pejcz pogromcy. Tak zachowuje godność w najdrażliwszych sytuacjach studentka medycyny, pacjentka u ginekologa, sanitariuszka w obozie, etc. i t. d.

Ale ten bezwstyd, który rozbiera się i prowokuje ulicę?! To jest zepchnięcie siebie na stanowisko niewolnicy starożytnej, która na targu stawała nago, by zachęcić kupca, który nie lubi kupować kota w worku.

Gdy na to patrzę, szkoda mi nie wstydu — ale dumy kobiecej, która miała jego gest i wyraz: Kobieta zapinała suknię pod samą szyję, opuszczała ją do ziemi, zacierała jej fałdami kontur ciała, tak jak się obwodzi wysokim parkanem i kolczastym drutem przed uliczną hołotą ogród prywatny, gdzie rosą kwiaty tylko dla kogoś... Pozwolić, ażeby tak pierwszy lepszy, plugawy andrus sutener — wstrętny, lubieżny sterczek — lub przedwcześnie zgniły żak szkolny opasywał cię ramionami marzeń... pozwalać się dotykać mackom jego astralnym... dać mu swą wizję unieść ze sobą, aby jego wyobraźnia zrobiła z nią, co zechce...

„Ależ takie myśli może mieć tylko mimozala! to jest właśnie ta mimozowość, którą wymroziło w nas życie!” — Słyszę, słyszę w duchowym moim telefonie, wraz z wybuchem młodego śmiechu... Prawda!

DUSZA NIEWOLNIKA

Śliska i giętka, jak wąż, co się przemyka i podpełza, dusza niewolnika żyje w kobiecie, wyrobiona wiekami niewoli!

Zawsze jej to zarzucano: jesteś komedjantka, obłudna i przebiegła — jesteś przewrotna i podstępna... Kłamiesz dla przyjemności.

„No, ale chyba już nie dziś?!”

„Gdzież jest dzisiaj ta szlachetna prostota? gdzie murowana prawość i złotousta szczerłość, któreby miały prawo rzucić na nas kamieniem?! Dusza niewolnika stała się psychiką ogółu ludzkiego. Kłamstwo, podstęp i obłuda, komedjanctwo i intryga spopularyzowały się i przeszły do użytku powszechnego ludzi wolnych!”

Myśmy się niemi posługiwały w niewoli. Wszak tylko chytrość niewolnika ocala?

Gdyby niewolnik chciał być otwartym i prostym, byłby podobny do tego, kto rozebrawszy się do naga, posmarował się miodem i legł na mrowisku.

Musiała razem niejedna żona komponować rachunki, wyciągać mężowi pieniądze z portmonetki — inaczej nie miałyby na ciepłe ubranko dla dziecka i dla niego samego na obiad, gdy zgra się w karty.

Musiała odgrywać komedje, mdleć i spazmować... bo jak się dobrać do serca, zamkniętego w ciasnym futerale podręcznikowej logiki? czem przekonać tego, co trzyma w rękach śmierć twoją i życie, a zabija cie w najlepszych intencjach „dla twego dobra” — bo ten pyszałek nic a nic ciebie nie rozumie, a ma cię za głupca!

To ułatwiało opanowanie pana i odnalezienie jakiegoś znośnego modus vivendi.

Ale przecież mężczyzna — gdy mijało zaślepienie namiętności — poznawał się, jaką grę prowadzi jego towarzyska... Choć przez ambicję nie dawał tego widzieć po sobie, czując się na każdym kroku wyprowadzanym w pole, wstrychniętym na dudka... tracił zaufanie i szacunek dla tej, którą kochał... Atmosfera rodzinna ogromnie oczyści się i wyblękitnieje, gdy wolna kobieta przestanie używać sztuczek, odwieczne kobiecych...

(c. d. n.)

R. M. B L Ü T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

Niegdyś górny nasz śpiewak w godzinach
[wygnania
Świętą Cię na północy poznał i dostojną
Dzisiaj syn jego duszny, wdowę bogobojną
W stolicy Piotra wita, w Piotrowem wy-
[gnaniu.

(z wiersza Ks. Hieronima Kajsiewicza
„Na wille Ks. Zinaidy Woł-
końskiej“).

„Królowa muz i piękna“, jak nazwał ją Puszkina, księżna Zinaida Wołkońska, lata dziecinne i dziewczęce spędziła za granicą.

Urodziła się w 1792 r. w Turynie, gdzie ojciec był posłem rosyjskiego dworu. Matka zmarła zaraz po jej narodzeniu. Wychowywał ją ojciec.

Głośna to postać wielmoży z czasów Katarzyny II. Zasłynął jako oryginał, europejczyk i angłoman.

Książę Biełozierski - Biełosielski, należy do typu często spotykanych w XVIII wieku, entuzjastycznych zwolenników kultury zachodniej. Podobny jest do ojca słynnej M me Swetorin.

Był on literatem, dyletantem, o wielkiej kulturze i wytworności.

Filozof rosyjski Kirejewskij, członek salonu Wołkońskiej i serdeczny jej przyjaciel — we fragmencie powieści p. t. „Dwa życia“, opisuje parę najwybitniejszych ludzi Moskwy z 1809 roku, pod mianem nazwiskiem ojca i córki Welskich.

Opis ten tyczy się księcia Biełoziersko - Biełosielskiego i jego córki Zinaidy (figuruje tam ona pod zmienionym imieniem Sophie). W tym właśnie roku, poseł przybył ze swą córką do Rosji. Ojciec nagle zmarł w tym samym roku — córka pozostała w swej ojczyźnie, dopiero co poznanej. O wychowaniu i wykształceniu ks. Zinaidy „biografka jej¹⁾“ mało pisze. Z późniejszej wzmianki o wielkiej bibliotece w Rzymie (1832 r.) można przypuścić, że książę Biełozierski — starał się o to, by jego zagraniczna rezydencja obfitowała we wszystko, co niezbędne dla życia kulturalnego Europejczyka i Rosjanina zarazem.

W życiu umysłowym Europy — ojciec bohaterki naszej, brał żywy

udział. Łączyły go zażyłe stosunki z Voltaire'em i Delilem. Był członkiem wielu europejskich towarzystw naukowych.

Słynęły jego zbiory rzeźb i obrazów. Sam pisał komedje salonowe, w stylu lekkich komedij francuskich.

Choć ożenił się po raz drugi, aż do śmierci nie przestawał kierować samodzielnie wychowaniem córki.

Welskij — (Biełosielskij) — pisze Kirejewski — miał wiele przyzwyczajęń zupełnie niemoskiewskich. Wogóle dbał o to, by wytworzyć własny typ życia, czy styl. Typ swój uzgadnia z typem życia innych ludzi tylko wtedy, gdy tamte przejawy zgodne były z jego poglądami na życie. Nie bacząc na starożytność swego rodu, te jego przyzwyczajenia, stwarzane były na wzór średniego stanu kulturalnej Europy. Brał wzory, zarówno z Anglików jak i z Niemców, i Francuzów. Nie odrzucał w razie potrzeby i wzorów z Rosji, o ile mu odpowiadały.

W pokojach jego domu nie znalazłbyś niczego takiego, co by nie odpowiadało potrzebom lub wygodzie...

W gabinecie na stole, znalazłbyś wszystkie ważniejsze zagraniczne czasopisma, w bibliotece wszystkie nowości z zakresu europejskiej nauki czy sztuki.

Do małej karetki, zakładano tylko parę małych koników (angielska moda sprzeczna ze snobizmem wielokonnych zaprzęgów rosyjskich elegantów.

Wytworności jego ubrań nie strzegano nawet, tak były one proste, co do kroju, tak jednostajne w barwach.

Książę Biełozierski, przeważnie przebywał we Włoszech. W Rzymie miał pałac własny, do którego po nawróceniu i wyjeździe z Rosji — przeniesie się na stałe nasza bohaterka. Pałac słynął ze zbiorów sztuki.

¹⁾ Białoruska ks. Zinaida Wołkońska „Istoriczeskij Wiestnik“ 1897 r.

²⁾ Ks. Kozłowski, słynął z dowcipu i sarkazmu, był on wymienionym przez mark. Cuistyna. („Rustiacu 1839“ — głównym jego informatorem krytycznym.

Wychowana we Włoszech, młodziutka księżniczka, musiała się stykać ze światem katolickim. Jak wiemy przy końcu XIX stulecia, za Pawła katolicyzm był na dworze rosyjskim bardzo przychylnie widziany.

O religijnych przekonaniach ojca nic nie wiemy, poza przyjaźnią z Voltairem.

Ale, już serdeczny przyjaciel, następca w legacji ks. Kozłowski²⁾ — był katolikiem.

Iwan Kirejewski, w dalszej części swej charakterystyki dwóch, spotkanych na ulicy Moskwy ludzi „prawdziwie pięknych i wytwornych“ — szkicuje portret siedemnastoletniej „Sophie“, córki „Welskiego“. Jak już mówiliśmy ową Zofią — jest nasza bohaterka ks. Zinaida z roku 1809 t. j. śmierci ojca.

„Wychowana pośród takich przyzwyczajęń, pod nadzorem ojca mądrego i wykształconego, spędziwszy pięć lat w cudzoziemskich krajach, między najwytworniejszym towarzystwem, w atmosferze sztuk pięknych i arystokratyzmu umysłowego obdarzona najrozmaitszymi talentami i pięknością nieprzeciętną, — Sophie Welska, siedemnastoletnie dziewczę, mogłaby stać się jedną z najwybitniejszych dziewcząt w kulturalnych sferach Zachodu, a tem bardziej chyba w Rosji. Nie bacząc na to, w Moskwie się nie podobała z początku. Bo w samej rzeczy między nią a większością moskiewskich dam było bardzo mało wspólnego. Co ją interesowało — nie zajmowało tamtych; a ich rozmówki były jej niemiłe. Istotne dla niej — wydało się tamtym małoważnym. Nie mogła się śmiać, gdy tamte się śmiały i biedaczka musiała się śmiać zazwyczaj samotnie. Nie szczebiotała bezmyślnie — uznano ją więc za ograniczoną. Mówiła, co myślała, i tylko wtedy, gdy myślała — zasłynęła więc, jako dziwaczka. Milczała w tym obcym dla niej świecie — zasłynęła jako dumna. Zachowania swego nie obliczała na efekt, nazwano ją sentymentalną i zimną zarazem. Nie entuzjazmowała się komplimentami moskiewskich kawalerów — uznano więc ją za pustą. Nudziła się w towarzystwie mo-

skiewskim — więc za nudną była uznana. Była też Sophie — nieśmiała z natury“.

W 1809—siedemnastoletnia księżna Wołkońska, została zupełną sierotą. Śmierć ukochanego ojca była pierwszym tragicznym przeżyciem wrażliwego dziewczęcia. Syn księżnej w biograficznym wstępie do wyboru dzieł pisze: ³⁾

„Już wtedy, po śmierci ojca, pojawiać się zaczęła u księżny skłonność do raptownych zamyślań, która nie opuszczała jej nawet pośród rozgwaru salonowych zabaw.“

Zmuszona warunkami rodzinnymi, księżna Zinaida w rok po śmierci ojca wychodzi za mąż. Rodzina nowa książąt Wołkońskich, to już typowa sfera dworska późniejsza. Ludzie bez wielkiej kultury — dworacy biurokratyzowani. Mąż, bogacz, członek świty przybocznej cara—był o wiele starszy od żony.

Ubóstwiał żonę, zezwalał na wszystkie jej zachcianki artystyczne.

Małżeństwo wprowadziło ją na dwór cesarski. W krótkim czasie zdobyła tam wielkie wpływy. Car Aleksander wyróżniał ją specjalnie. Nie tylko dla jej gracji, urody, wdzięku, ale i dla charakteru, stał się jej najserdeczniejszym przyjacielem i adoratorem.

Były to lata szczęśliwe dla Rosji i cara, lata wielkich triumfów. I najbliższa zdążyła do dworu, wówczas zajaśniała na terenie salonów dyplomatycznych Europy.

³⁾ Dwutomowego „Ouvres choisies de la prin. Zinaïde Wołkowsky nê p-sse Belodelsky“ Paris — Carlsruhe 1865 — nie mogliśmy otrzymać. Wydanie to, jak również tłumaczenie rosyjskie tomu drugiego — drukowane w ograniczonej ilości egzemplarzy — jest białym krukiem bibliograf. Cytaty i fakty biograficzne czerpiemy ze szkicu p. Biełozierskiej.

Już wtedy przejawiała swe specyficzne zdolności organizowania życia kulturalnego. Były to czasy zarazem wielkiego wpływu de Maistre'a i jezuitów. Katolicyzm stał się na dworze „modą“. Były i podboje istotniejsze, głębsze przenikania tych wpływów.

Wówczas—późniejsza opiekunka Lakordana — słynna po dzień dzisiejszy w Europie m-me Iwetchine, będąc jeszcze w Rosji, organizowała salon. Duszą tego salonu była De Maistre.

Katolicyzm przenikał na stałe do pewnych rodów arystokratycznych.

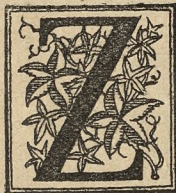
Specjalnie jeden z rodów i to najbardziej starych, potomków Gedymina, zasłynął, jako najbardziej dla katolicyzmu przychylny. Kto wie, czy w wypadku Golicynów nie mamy do czynienia z pewnego rodzaju atawizmem psychicznym.

(c. d. n.)

N. SAMOTYHOWA

KROŚCIENKO

3



właszcza chłopi ze Sromowiec Niżnich, wioski, leżącej nad Dunajcem u stóp Trzech Koron, znają, czem jest na przednówku głód. Ze szczytu góry wieś ich

widać, jak wielkie gniazdo ludzkie, zaprzepaszczone za światami. Najbliższą dla niej osadą jest Krościenko, do którego droga trudna i długa przez wirchy. Jednak chodzą tam po najpotrzebniejsze rzeczy: po chleb, po sól Sromowieccy chłopi mają nawet pola przy Krościenku, koszą je i znają do zachodu słońca.

Umieją iść ślicznym, lekkim krokiem, jakby nie czując wagi swego ciała, miękko i sprężysto odbijając się od ziemi i kołysząc miarowo. Trudnią się przewożeniem wycieczek po Dunajcu w dół, poczem holują z powrotem w górę ciężkie łodzie, ciągnąc je na powrozach w skwarze lipca po wąskim, ostremi kamykami pokrytym, brzegu rzeki.

Na biedę skarżą się najwięcej Sromowiczanie. Lato tegoroczne zastało komory ich puste. Zachęcają więc spotkanych „państwa“ do wycieczek po Dunajcu i proponują wskazanie drogi na Trzy Korony.

Czuje się, że te złote, o które tu idzie, są kwestją przeżycia najbliższych dni dla licznej rodziny.

Kryzys gospodarczy odbił się u nich dotkliwym echem, podobno od dawna nie było tak ciężko, mówią nawet zasobni w ziemię gospodarze: „jest ziemia, cóż kiej gotówki niema; niema za co kupić maki dla ludzi, siana dla bydła“.

Mimo to nie są chciwi, ani czyhający na grosz.

W drodze na Trzy Korony stowarzyszył się z nimi góral ze Sromowiec i wskazywał dogodniejsze i krótsze ścieżki. I ten mówił o biedzie ogromnej. Gdy blisko już celu wypadło nam się rozejść, daliśmy mu, dziękując, złotego. Przyjął ze zdziwieniem, widocznie nie liczył na datek — lecz powiedział z radością w głosie: „Dziękuję Państwu, będę miał za co kupić chleba dla dzieci.“

Po te skąpe złote i grosze wędrują też „tyli świat“ codziennie rano kobiety z Grywałdu, Krośnicy, Harkłowej, niosąc dzbany malin, poziomek, masło i jaja aż do Szczawnicy, o ile po drodze nie zabiorą im tego letnicy w Krościenku.

Idą tak dobre osiem, dziesięć, dwanaście kilometrów w jedną stronę. Idą wesoło, krokiem pewnym i mocnym, a jednak lekko i płynnie;

trzymają się prosto i sztywno, ze statecznym ułożeniem ramion i rąk i pełnym godności osadzeniem głowy. Ich zwięzłe, gimnastyką pracy wymodelowane postacie zostały ujęte w obręcze długich, fałdzistych spódnic, które przy szybkim ruchu rozchylają się u dołu, jak kielichy kwiatów; proste kaftany, zakończone okrągło, przylegają skromnie do ramion i piersi. Na włosach jasne chusty perkalowe, kupione na jarmarku. W święta do kościoła szerokie fartuchy w mocne kwiaty, spódnice ponsowe, chustki wełniano-jedwabne — wszystko bardziej kolorowe i namarszczone niż na codzień.

Strój ten bez wyraźnych nawet specyficzności etnograficznych jest szarmonizowany z przyrodą i wsią. Dziwnie niezręcznie natomiast, cudacznie i obco w tem otoczeniu wyglądają nasze terazniejsze, wąskie, kuse sukienki; im strojnieszsze, im bardziej eleganckie i wyszukane, tem bardziej odskakują od miejscowego tła.

Szlachetność fizyczna rasy tamtejszych ludzi, wyrażająca się w przepysznych okazach urody męskiej czystych, dumnych profilów, pięknych i mądrych oczu, wyniosłej, gibkiej postawy i pańskiego, pełnego godności „wzięcia się“ —

ma swój kobiecej odpowiednik w typie Madonny.

Taką Madonną była góralka z Tylki, przynosząca nam masło i maliny. Działo jej się źle. Maliny zbierała cała rodzina. Opowiadała o tem melodyjnym, miękkim głosem. Rysy miała delikatne i ładne, dostojność i wdzięk w ruchach i wyraz lekkiego skrzywdzenia w żalonych oczach.

Poznaliśmy również Kasię Guź. Spotkaliśmy ją „za wodą“, to znaczy za Dunajcem, na drodze, nad rzeką.

Szło to maleństwo w długiej sukience, płaczącej się koło nóg i gdzieś zawędrowało pomiędzy bale, blisko rzeki.

„Ka idziesz, Kasiu? Jesce się zagubis?“ zwróciła się do niej przechodząca stara góralka: „Chodź tutaj“, zawróciła ją okrągłym ruchem ramienia.

Kasia posłusznie wywędrowała z pośród desek i drobnymi krokami zbliżyła się, nie okazując lęku; patrzyła tylko z podełba czarnym spojrzeniem.

Pochyliłam się do niej z rozmową. Nie odpowiadała.

Wdała się w to góralka: „No, powiedz pani, jak sie pises, Kasiu? No powiedz, jak sie pise twój tatuś?“

Milczenie. Widać było, że chciała powiedzieć, ale nie może się odważyć.

„No powiedz, powiedz, że pises sie Kasia Guź.“

Maleńka dreptała z nami, w uporczywym milczeniu. Trzymała główkę, pochyloną na piersi i ręce przykładnie złożone na podełku gestem małej księżniczki Raynolda.

We wspomnieniach moich należne miejsce zajmuje „admirał“ Koterba. Już pierwszego wieczoru zoczył nas i zaproponował wynajęcie łodzi na podróż po Dunajcu.

Ten — jeśli chodzi o fizjonomję psychiczną — jest z poznanych najbardziej człowiekiem „nowoczesnym.“ Intuicję górali, ich zdolność oceniania ludzi wystrzyżył w sobie i spotęgował niesłychanie zapewne w związku z uprawianiem przez siebie od lat trzydziestu pięciu zajęciem. Koterba jest znanym w Krościenku i okolicy fachowym przewoźnikiem. Pracuje w ten sposób od wczesnej młodości. Od maja do października pokazuje przybyszom piękno Pienin. Ma chyba z pięćdziesiąt lat. Średniego wzrostu, szczupły, muskularny, silny, spalony. Dobroduszny i chytry, widzi, nie patrząc. Napewno umie sobie dawać radę w życiu. Przez ręce jego musiało przepłynąć dużo groszy,

które lubi, a jednak nie „naciąga“ ponad takse, nie upomina się o napiwek, nie zagarnia pieniędzy skwapliwie i chciwie.

Jest żonaty po raz trzeci. Ma żonę młodą i drobnych dzieci całą izbę.

Głos jego posiada wielką skalę odcieni: od przypochlebnej słodyczy — do gniewnego mruku zniecierpliwienia. Ukłon i ruchy również.

Jest bardzo giętki. Umie rozmawiać i bawienie gości uważa nawet za jeden z obowiązków swego zawodu. Do tych obowiązków należy również nazywanie szczytów, pokazywanie złudzeniowych obrazów, które fantazja patrzących może wytworzyć na ścianach skał, budzenie echa wśród górzystych skrętów drogi Dunajca. Koterba umie jak mało kto, puszczać z kamyczków śliczne „kaczki“, odbijające się powielokrotnie od powierzchni wody; umie zapewne śmiać się i dowcipkować, gdyż ma to wypisane na twarzy.

Lecz ponieważ jest taktowny i opanowany — trzebaby go do figłów zachęcić — i wesołością zarazić, a może po prostu „pokropić“ wycieczkę. Że jednak tego nie było — Koterba nastroił się na ton powagi i umiaru i wytrzymał w swej grandeezy, wolnej od pozy, przez całe sześć godzin wycieczki: okazywał uprzejmość, dworną usłużność i tłumaczył swą małomówność bólem głowy.

Gdy narzuciły nam swe towarzysztwo łodzi, wiozące miejscową szlagone ję, mocno podpiętą, siejącą po Dunajcu opróżnione butelki, niedopałki papierosów i bardzo cyniczne piosenki, Koterba niezadowolony kręcił głową, „rozumie“ całą „niestosowność“ zachowania się tamtej socjety i dopomógł do wyminięcia natrętów.

Jechaliśmy na czterech, jak kajakowi wężki, równolegle mocno



ze sobą prastarym obyczajem związanych łodziach. Prąd Dunajcowy jest niezmiernie wartki, zniósłby więc pojedynczą łódź. W ten zaś sposób łodzie posuwają się bez wstrząśnień po wodnych szynach, jak wagon.

Najlepiej jednak i najciekawiej jest, gdy wpadamy na wiry i wodospady Dunajca. Woda pieni się, bryzga, wlewa się w łodzie; prąd staje się gwałtowny, wrażenia mocniejsze. Bo poza tem niezamącony spokój gości pod jasnym, gorącym niebem.

Płyniemy łodzią od Czorsztyna. Rzeka tam szeroka, brzegi spokojne i niskie. Od Sromowiec zaczyna się właściwy kanion Pieniński z Trzema Koronami, Sokolicą, Czertezikiem, Cukrową Górą, Facimiechem — ze stromymi ścianami i grą światła na szczytach. Nie odczuwa się tu jednak grozy. Jedziemy przez malowniczy, naturalny park. Ze szczytów Pienińskich widziany Dunajec, kręty, ciemną wodą głęboko płynący, o ścianach niemal poziomych, czyni wrażenie siły nieprzychylnej, lecz groźnie zrywającej do siebie.

Tu, na jego wodzie czystej, jesteśmy z nim za pan brat, a ściany gór stają się ładną dekoracją, której nie poskąpiła natura.

Niespodziankami darzy ta rzeka, a raczej ludzie z naddunajcowych wsi, którzy... znów muszą wyciągnąć, wychytrzyć, wymyśleć jakieś pieniądze, aby żyć.

Więc niedaleko poza Czorsztynem na spotkanie łodzi idzie Dunajcem szereg bram triumfalnych, uplecionych z gałęzi, liści i kwiatów i trzymany z ostentacją i odświętnem celebrowaniem przez dzieci, zanurzone w rzece po pas.

Czasem u kwiatowych takich wrót stoi chłopak w parciance, grający na skrzypcach. On jest organizatorem przedsiębiorstwa i woła łodziom na powitanie: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.“

Dzieciaki pomimo upału są jakieś jakby zmarznięte, chłoną wzrokiem jadących i pośpiesznie wyciągają chciwie ręce ku przemykającym się szybko łodziom. A potem słychać ich głosy twarde i przedwcześnie kłócące się pomiędzy sobą o zdobyty zarobek.

W pobliżu Sromowiec oczekuje w wodzie na przejeżdżających brodaczy — cygan, rzępolący na skrzypcach.

I wciąż ta sama sprawa.

Nawiasem wspomnę o cyganach, których tylu włóczy się w okolicach Dunajca. Z czego ci ludzie żyją? Czem żyją? Przy ogniskach siedzą gromadki ich nawpół ubrane, bez

rzeczy, bez wszelkiego dobytku. Gdy słońce świeci—beztrąsko śmieją się, tańczą, śpiewają i żebrzą dokuczliwie, uparcie, nieznośnie, ale wesoło. Są bezgranicznie wolni, nie skrupowani miejscem, zajęciem, ani posiadaniem, nie mają nic prócz siebie.

Podczas jednej z wycieczek wśród gąszczu zarośli nad drogą zobaczyliśmy znagła małe obozowisko cygańskie. Była wilgoć, mżył deszcz. Dym wisiał nad ogniskiem, przy którym kręcił się pies włóczęga. O krok na prawo, wśród ciemnego listowia, tworzącego zieloną niszę, nawpół siedziała, czy też kłęczała młoda, śliczna cyganka, trzymając obu rękami przed sobą, jak tarczę, małe dziecko. Żebrała wzrokiem, słowami, bezradną figurką dziecka. Ale bezwiednie uczyniła z siebie najdoskonalsze zjawisko plastyczne, przepyszny model do posążku jakiejś spalonej przez słońce indyjskiej Lakshmi.

Gdy minęliśmy Szczawnicę, było już po 7-ej. Dunajec i niebo stały się srebrzyste; zadumanie i melancholja wisiały nad rzeką. Zrobiło się chłodno.

Koterba usiadł i zapalił podanego papierosa. Lecz przedtem zwrócił się do nas, siedzących nawprost siebie i głosem niezmiernie serdecznym i miłym poprosił: „Moi drodzy, usiądźcie se obok siebie, bardzo was prosię, tak będzie milej i ładniej“.

Łódź prowadził stojący z tyłu syn jego najstarszy, piękny, 18-letni chłopiec. Jechaliśmy wolno.

W pewnej chwili Koterba poderwał się: „No, cóż tak wolno?! pokazmy, co umiemy. Czy to my nie są admirały!“ — zawołał wesoło i dumnie.

Popłynęliśmy wartko po ostatnich przedkrościeńskich porohach.

„Jak się też wam u nas widzi“, pytali nas często górale i wydziwić się nie mogli, że się nam „widzi“ dobrze, że ich kraj nam się podoba, że tęskniliśmy do powietrza, do pól, trawy, do prostych kwiatów łąkowych. „Tak, powietrze to u nas jest“, mówili z przekonaniem.

W zamian opowiadaliśmy o Warszawie, o jej domach, wielkich ulicach i ich ruchu, o płonących na nich lampach, o niespokojnej i ciągłej gonitwie ludzi w godzinach rannych, obiadowych i wieczorowych ku pracy i rozrywkom.

„Cie!“ wołała nasza gospodyni i na znak podziwu podpieriała ręką brodę.

Na zakończenie:

Opisany tu kraj jest piękny. Posiada wszelkie warunki zdrowot-

ności: dużo powietrza, naświetlenie, źródła mineralne, rzekę.

Ludzie tu mieszkający, niejedno krotnie wysławiani przez pisarzy, są istotnie bardzo zdolni, inteligentni i obdarzeni wyjątkowo miłymi właściwościami charakteru.

Żyją jednak w niedostatku, często kroć w brudzie i zaniedbanu, w warunkach prymitywnej i niskiej cywilizacji.

Zabija ich nieumiejętna gospodarka, twarda, nieurodzajna gleba, wylew rzek, brak kredytów, niewyzyskanie możliwości gospodark-górskiej, jak pasterstwo, mleczarstwo z odnogami, ani talentów, jak rzeźbiarstwo, hafciarstwo, kilimkarstwo i t. d.

Jeżeli idzie o samo Krościenko, to nie jest ono zupełnie wyzyskane jako doskonałe uzdrowisko.

Biorąc rzeczy trzeźwo, z punktu widzenia dzisiejszych potrzeb społecznych: higieny, oświaty, podniesienia przemysłu, sprawności życiowej, dobrobytu jednostkowego i zbiorowego—słowem tego wszystkiego, co stanowi realnie i konkretnie o poziomie życia:

Krościenku i krajowi Nowotar-skiemu należy się duża i poważna pomoc.

Dodajmy do tego jeszcze względy obywatelskie i narodowe.

W tych tam bowiem kotlinkach i dolinkach, wśród gór i na górach zdala od przeludnionych traktów, uchował się piękny, dobry człowiek — o którym się mówi: „rzadki materiał ludzki.“



*Już zmierzch wieczoru białe tytoń rozwija;
umilkły senne ptaki śród uspionych gniazd.
Pójdź! będziemy pić szczęście, które nie przemija,
ciszę rozkwitających, dużych, srebrnych gwiazd.*

*Dłonie moje są małe i chłodne od rosy,
a na zmoczonych włosach drży gwiazdzisty pył.
Wysłuchaj się w pieśń mej duszy... wszystkie nocne głosy
krążą we mnie potokiem krwi szumiącej żył.*

*Jestem nocą i ciszą i jestem gwiazd pieśnią
i milczeniem, gdy w gnieździe drży uspiony ptak.
Spójrz mi w oczy... sny ujrzysz, które się nie prześnią
i srebrzysty — dalekich gwiazd — tajemny znak.*

WILA DMOWSKA

NOC
ROZKWITAJĄCYCH
GWIAZD

MARJA DĄBROWSKA

NAJDALSZA DROGA

5

(dokończenie)

Julka podeszła do ojca i zapytała ostrożnie:

— Ale bez co sie tak zrobiło? Bez co sie ta pszenica zapaliła?

— Zeby jo to wiedzioł, odparł. Ludzie leżeli w chłodzie pod gruszką i paśli swoje krowy na rowie, — chto ta komu zabroni kole swego pochodzić. Jo sie układem z drugu strony między kwieciem, aby żem może ze dwa pacierze pospał, a tu jak nie weznom krzyczeć: gore: Obróciłem się, a tu ogień tylko aby tak fyr — fyr — fyr — nad zagonami, i tak zaro zaczeno w tem ogniu hukac — tokie darcie sie w niem porozlegało — tak niem zaczeno chlastać. Ady w okamgnieniu poszło.

— Tata — A wyšta... nie kurzyli?

Na te słowa milczenie zaległo ze wszystkich stron.

— Nie wiem — rzekł nareszcie Kaczmarek głosem ciężkim, jak z grobu.

Wstał i uderzył się w pierś.

— Mnie tak zamroczyło, że aż mi pamięć odebrało. Nic a nic nie mogę przypomnac, cözem robił, zanim to sie tak zrobiło. — Ale bo to jo by taki był ostatni — żeby jo kurzył przy dostałem zbożu. Żelim tak ogłupioł, żem to zrobił, tom tak uczynił, jakbym wom wsiem garła popodrzynoł — bo mi to pole tak samiuchno było za familje jak i wy.

Zajęczeli pospołu nad tem, że coś złośliwie się między ludźmi rozpościera — życie im targa i płacze. Ż nieobeschnietemi na oczach łzami Julka poszła do domu. Noc była jasna. Słychać było przepiórki, jak niosły: pit pilit.

Nie zaraz — dopiero po jakimś tygodniu, gdy panu zrobiło się lepiej, Julka zapytała ojca, gdzie teraz pójdą. Może to nadszedł czas, że trzeba się wynosić za morze, albo do Prus. Ojciec na te słowa odparł że nie, a nie.

— A przódzi zešta chcieli?

— Jo tero inakszy, rzekł twardo. Jo ta niejedno sobie przełożyłem, jakem tu za tego polowego chodził. To wom powiem — żyć by nie było wrato, jakby nie wierzyć, że tu przyńdom lepsze czasy na ludzi. A jak wszyscy wyńdom, to chto je uczyni?

— Co ty myślisz — że ta po drugich wsiach plotów na ciebie nie narobiom. — A to, że sie za ciebie zhoże spoliło, a toto? To oni

nie jeżdżajom po dworach z wizytom? Kaj cie potem zgodzą?

— Jo tyż już na wsi miejsca szukać nie bude.

— To kaj sie chcesz dziać? — jęknęła matka.

— A do miasta — jeszcze my tego nie probowali — no to czemu.

— Loboga — w mieście ludzie majom dobrze, ale ta sie jeszcze gorzej żrom, jedni drugich wygryzajom — rzekła słabiej.

— Do wszystkiego dobrego droga daleka, to i do tejjakiej zrozumiałości między ludźmi tyż nie blisko. Ale żeby nojdəluj, to ludzie nie som złe, tylko pourządzane majom wszystko, tak, że niech ręka Boska bronu. Jak ino co, zaro człowiek o człowieka ópo, zaro sie żro. Ale tak nimoże być. Zali nie jo, to ty Juluchna doczekosz, abo ten Józiu, że ludzie do ludzi dońdom.

Te słowa ponawlewały nieco pociechy do skołatanych serc. Zapalili światło, pocierali łzy. Julka nabrała w kwartę wody i podlała kwiaty na oknie.

Ojciec rzekł jeszcze:

— Jo ta na niego, na pana, tyż nic nie mówie — choć my w złości na siebie warli. Jo bym sam nie wiem co zrobił — żeby mi się taka pszenica spoliła. Ale co robić. Roz, że jo sobie ubliżyć nie dom. A żelim spalił, tom lepij nie wart, jak iść stąd na zawdy. Niechta drudzy do ty ziemi dotrwajom. Mówiom, że wielgo wojna mo być. To sie może bez to wszystko przeczyści.

Pogadali jeszcze cokolwiek — aż się zrobiło późno.

— Idź już Julcia, idź — nastawali na córkę.

Lecz gdy była przy drzwiach, odwołali ją nazad.

— Julcia.

Obróciła się.

— Julcia — szak ty tu musisz zostac? Miejsce tu mosz..

Na to pytanie podłubała koło zasuwu, a wkońcu odrzekła pomału:

— Jażem myślała dziękować i z wami odjechać.

— A dyś tu serce związała córuchno. To jak mo być z tem posiłkiem.

Trwało dość czasu, zanim odrzekła głosem grubym od przykrego duszenia w gardle.

— Żeli on mnie mo na myśli, to za mnom przyńdzie i do miasta, a żeli nimo — to mnie i tu nie najdzie.

Ucieszyli się i odetchnęli.

— Toś mądrze powiedziała — pochwalili ją, a gdy odeszła zgodzili się, że im będzie milej mieć ją jeszcze choć parę lat przy sobie.

— Bo nom bydzie nie letko. Trza wszystko zaczynać od nowa — prawdziwie drugie życie — a ona tako młoda, zdrowa, wesoluchna jak to światło po nocy.

Do drugiego tego życia nie wybrali się zaraz. Mimo odgrzań zostali do kwartału, i odjechali na jesień.

Musieli przyznać, że wóz był ładowniejszy, niż kiedy tu nastali.

Przyodziejku wieźli już nieskąpo, kury mieli, trochę pieniędzy za prosiaki i na tę krowę — a oprócz kota był też pies. Mimo to było, jakby znów mieli tylko siebie samych — i oto patrzyli mężnie, co z tego dalej wyniknie:

Ojciec szary na licu stał przy wozie i naglił.

— Spieszta sie spieszta, bo aby darmo czas trudzita.

Nie trudzili go tedy więcej i wrzuciwszy między graty kota w worku, powchodzili nakoniec — i poumieszczali się z hałasem na pościeli. Julka usiadła na przedzie.

— Zuzia trzymaj psa! — Kury ta nie wyletom? — krzyknęła obracając się.

— No już? zapytał fornał.

— Jazda — odparli. W imię Ojca i Syna.

Kiedy skręcali na szosę, poodwracali głowy, żeby nie widzieć mrowanki. Była już skończona i wysychała sobie w blaskach ostatniej pogody.

Nie jechali daleko — miasto było nie o całą milę. Lecz krótka ta droga szła w nowy świat, między drugich ludzi, na obce obyczaje. A oprócz tego nie wiodła już do ziemi, tylko do czegoś, czego przewidzieć nie mogli. Tedy wydawała im się dalsza niż do jakiejbądź wsi, dalsza niż do Prus, niż za morze — najdalsza.



JOSEPH CONRAD (JÓZEF KORZENIOWSKI)

TŁUMACZYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

Z POWODU DOLARÓW

6



Diecko leżało rozpalone w nędznym posłaniu, skleconem ze starych skrzyń od wódek, wpatrywało się w Davidson'a sennemi oczami. Był to widocznie ciężki atak febry. Davidson uderzony był niezwykłym zachowaniem się kobiety, stojącej obok niego, gdy uspakajał ją, obiecując pójść na statek po lekarstwa. Wpatrując się z rozpaczą w posłanie dziecka, nagle spojrziała trwożnie na Davidsona, a potem w kierunku sąsiedniego pokoju.

— Tak, moje biedactwo, szepnął tłumacz na swój sposób jej roztargnienie, choć nie umiał go sobie wytłumaczyć jasno, „obecność tych czterech nie wróży ci nic dobrego. Skąd się tu wzięli?”

Schwyciła go za ramię i szepnęła gwałtownie:

— Oni dla mnie nie są niebezpieczni, och nie! Ale boję się o ciebie, bo oni czyhają na dolary, które wiesz na statku!

— Skąd oni wiedzą o nich? — Davidson zawołał ze zdumieniem.

Zlekka uderzyła w dłonie, najwidoczniej zatroskana:

— A więc to prawda, że te dolary są na twym statku? Strzeż się w takim razie!

Stali przy łóżku chorego chłopca i patrzyli na niego, wiedząc, że mogą ich obserwować z tamtego pokoju.

— Należy natychmiast dać mu na poty, — rzekł Davidson zwykłym swym głosem. — Daj mu się napić czegoś gorącego, a ja pójdę na statek i przyniosę ci, oprócz innych rzeczy, spirytusową maszynkę; a ledwie dosłyszalnym głosem dodał: Czy oni planują morderstwo? —

Nie zrobiła najmniejszego ruchu, przyglądając się znów z rozpaczą swemu choremu dziecku. Davidson sądził, że nie słyszała pytania, gdy wtem, nie zmieniając wyrazu twarzy szepnęła cichutko:

— Francuz zamordowałby cię od razu, ale tamci odkładają morderstwo aż do chwili, gdy zaczniesz się opierać. To wcielony diabeł; on ich podmawia do wszystkiego. Bez niego gadaliby tylko. Zaprzyjaźniłam się z nim. Co zrobić z takim człowiekiem, jak ten, z którym teraz żyję. Bamtz się ich boi i oni o tem wiedzą. Ze strachu tylko

należy do ich bandy. O Davy, odplyń stąd czem prędzej!

— Za późno, odparł Davidson, statek ugrzązł już w mule.

— Gdyby dziecko nie było takie chore, byłabym z niem uciekła do ciebie, albo w lasy, albo gdziekolwiek. Och! Davy! czy on umrze? — zawołała nagle głośno.

Davidson spotkał we drzwiach trzech z tych ludzi. Usunęli mu się z drogi, nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy. Bamtz patrzył w ziemię, jak winowajca. Tylko ogromny Francuz pozostał rozparty niedbale na krześle, trzymając swe okaleczone ręce w kieszeniach i rzekł, zwracając się do Davidson'a.

„Okropna bieda z tem dzieckiem. Wzrusza mnie głęboko rozpacz matki, ale jestem do niczego. Nie mógłbym nawet poprawić poduszki pod głowę chorego przyjaciela, bo nie mam rąk. Czy nie mógłbyś włożyć jednego z tych papierosów w usta biednego, nieszkodliwego kaleki. Muszę uspokoić nerwy, słowo daję, potrzebuję tego“.

Davidson uczynił, czego od niego żądał, ze zwykłym swym dobrym uśmiechem. Davidson ma tę właściwość, że spokój jego zewnętrznego zwiększa się, im więcej ma powodów do zdenerwowania, a oczy jego, gdy umysł z wyteżeniem pracuje, stają się spokojne i senne; łatwo więc zrozumieć, iż ogromny Francuz mógł przypuszczać, że Davidson to istna owca, gotowa na rzeź. Powiedziawszy „merci bien“, dzwignął swe ogromne cielsko, aby dosięgnąć papierosem do zapalonej świecy. Wówczas Davidson opuścił chatę.

Idąc i wracając ze statku, miał dosyć czasu dla rozejrzenia się w swej sytuacji. Z początku skłonny był przypuszczać, że ludzie ci (oprócz Bamtz'a znał z widzenia tylko jednego Niclausa, Białego Nakhodę) nie posunęliby się do ostateczności. Z tego też powodu, po cześci, nie wydał żadnych rozporządzeń na statku. Nie można było liczyć na pomoc spokojnych Kalaszów w walce przeciw białym, a tchórzliwy mechanik dostałby ataku na samą myśl o jakiegokolwiek walce. Davidson wiedział, że może polegać tylko na sobie, gdyby doszło do jakiego zatargu.

Davidson oczywiście nie doceniał mocy charakteru Francuza, który umiał pchnąć innych do czynu; nie

wiedział też jak silne były jego pobudki: dla beznadziejnego kaleki dolary te były niesłychaną gratką. Łup posłuży mu do założenia nowego sklepu we Władystoku, Hajfongu, Manilli czy gdzieindziej, byle daleko stąd.

Davidson, będąc wyjątkowo odważnym, nie zdawał sobie sprawy, że jego charakter nie był naogół znany, a ta banda łajdaków, widząc, jak przechodził przez pokój z rękami pełnymi rozmaitych przedmiotów i paczek, przeznaczonych dla chorego chłopca, sądziła, że ma do czynienia z człowiekiem niepodejrzliwym, łagodnym i nieszkodliwym,

Siedzieli znów we czterech przy stole. Bamtz nie odważył się przemówić, więc Niclus zabrał głos w imieniu ogółu, zapraszającego, aby niedługo powrócił i napił się z nimi.

„Pewnie będę musiał pozostać dłużej, aby pomóc jej pielęgnować malca“, odpowiedział Davidson, nie zatrzymując się.

Było to powiedziane dla uspokojenia podejrzeń, Davidson bowiem rozumiał, że nie mógł tam długo pozostawać.

Siadł na pustej beczce w pobliżu improwizowanego łóżka i patrzył na dziecko, podczas gdy Anna Śmieszka, krzątając się po pokoju, przygotowywała gorący napój, poila łyżeczką chłopca, lub zatrzymawszy się nad nim, wpatrywała się bez ruchu w jego rozgorączkowaną twarz i dawała szepem krótkie, oderwane informacje. Udało jej się zaprzyjaźnić z tym francuskim diabłem. Davy przecież wie, że ona umie przypodobać się mężczyznom.

Davidson skinął głową, nie patrząc na nią.

To bydlę zaufało jej zupełnie. Kiedy grali, trzymała mu karty. A Bamtz? Bamtz tak się bał, że cieszył się tylko, gdy Francuz był w dobrym humorze. Francuz wierzył wreszcie, że ona jest gotowa na wszystko. Wówczas zaczęli mówić przy niej otwarcie. Z początku nie mogła zrozumieć, co knują. Przyszło, nie spodziewając się zastać u Bamtz'a kobiety, byli tem niemile zaskoczeni.

Gorączkowo doglądała malca i nikt, zajrzawszy do tego pokoju, nie znalazłby nic podejrzanego w zachowaniu się tych dwojga,

rozmawiających szeptem przy postaniu chorego.

„Uważają mnie teraz za dzielniejszą od Bamtz'a”, rzekła, śmiejąc się zlekka.

Dziecko jęknęło zcicha. Ukłękła nad niem i, pochyliwszy się, wpatrywała się w nie posepnie. Potem, podniósłszy głowę, zapytała Davidson'a czy przypuszcza, że dziecko wyzdrowieje? Davidson był tego pewien. Wówczas szepnęła smutnie:

„Biedny malec! dla takich, jak on, niema szczęścia na tym świecie; psie życie go czeka! Lecz nie

mogłam mu pozwolić odejść, Davy, nie mogłam!”

Davidson odczuwał głęboką litość dla dziecka. Położyła mu rękę na kolanie i poważnie ostrzegała go przed Francuzem: Davy nie powinien mu pozwalać zbliżać się do siebie. Davidson chciał, by wytłomaczyła mu to jaśniej, bo człowiek nie posiadający rąk, żeby nie wiem jak był ogromny, nie wydawał mu się w żadnym razie niebezpiecznym.

„Mogę ci tylko powtórzyć: nie daj mu się zbliżyć do siebie”, nalegała niespokojnie, wahając się. Wreszcie wyznała, że Francuz po południu odprowadził ją na bok

i kazał jej przywiązać do swego prawego kikuta siedmiofuntowy ciężar z pośród tych, których Bamtz używał w handlu. Posłuchała się go ze strachu przed jego dzikim gniewem. Bamtz był takim tchórzem, a nikt na świecie nie zatroszczyłby się o nią. Francuz pod najstraszniejszymi groźbami zakazał jej się przyznać tamtym, do czego mu dopomogła. Potem starał się ją uspokoić, obiecując, że jeśli mu będzie wierną w tej sprawie, to zabierze ją ze sobą do Hoifongu, czy gdzieindziej. Biedny kaleka będzie musiał mieć zawsze kogoś, kto by się nim opiekował. (c. d. n.)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

24

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



rosił mię jeszcze, abym wstąpiła choć na momencik do jego siostry, ale się wymówiłam pilną robotą w domu. Pożegnaliśmy się serdecznie...

Burmistrz widocznie czekał na mnie, bo w chwilę po moim powrocie zastukał do drzwi.

— Proszę pani — oznajmił, wsuwając głowę do pokoju — Był tutaj chłopak z Klimontowiec. Powiedział, że pan Rymsza czeka na panią o piątej.

— Dobrze. Dziękuję.

Stary nie odchodził. Namyslał się nad czemś. Wreszcie zapytał:

— Proszę pani... Bo ja ciągle względem tej łąki... Czy to prawda, co ludzie mówią, że się pan Rymsza rozmyślił i ani kawałka ziemi sprzedawać nie zechce?

— Skądże ja mogę wiedzieć, kochany panie...

— Tak? A ja sobie myślałem... Bo mnie bardzo o tę łączkę chodzi. Niedużo tam tego, będzie z półtora morga. Żeby tak pani do pana Rymszy słówko za mną chciała powiedzieć... Niechby mnie tylko sprzedał, ten kawałeczek. Jemu tam dużo o tę łąkę..

Ach, więc to tak. Protekcja. I to do mnie, do mnie zwraca się burmistrz o protekcję. Odpowiedziałam zmieszana:

— A cóż ja mogę powiedzieć? Burmistrzowi się zdaje, że mnie pan Rymsza zaraz usłucha...

— Kogóż usłucha, jak nie panią? — zdumiał się i to tak szcze-

rze, że już nie miałam wątpliwości. Oni tu w miasteczku są przekonani, że ja ze Zbigniewem „mogę wszystko”. Proboszcz miał słuszność, wspominając o plotkach. Tylko — jak daleko sięgają te plotki. Czyżby...

Śmieszne, doprawdy. Podeszłam do lustra i długo, długo badałam własne odbicie. Czy ja doprawdy tak jeszcze wyglądam, że mogłabym się podobać? Te smutne oczy, zmęczone ślęceniem nad książką... Ten lekki, a jednak widoczny zarys zmarszczek około ust... Tych kilka srebrnych nitk we włosach... „Twoje cudowne oczy” mawiał Zbigniew. To było dwanaście lat temu.

Jesteśmy przyjaciółmi — powiedziała przed kilku dniami. Będziemy, poprawił Zbigniew. Nie zwróciłam uwagi na tę drobną zmianę, teraz zaczynam się zastanawiać. Dlaczego czas przyszedł? Dlaczego nie dziś, a jutro? Czyżby chciał przez to powiedzieć: Gdy już będziemy starzy...

Że moja miłość nie umarła, to jeszcze nie dowód, by jego dawne uczucie dla mnie miało zmartwychwstać. Dziwne to słowo, przyjaźń. Używają go ludzie najczęściej, aby określić jakieś uczucie nieogarnione żadnym na świecie słownikiem. Mówi się: przyjaźń, a myśli się przytem: sympatja, albo miłość, zależnie od okoliczności.

Przed godziną zaledwie, mówiąc z proboszczem, użyłam zwrotu: Zbigniew jest moim przyjacielem. Czyżbym powiedziała za wiele,

albo, co gorzej, za mało? To głupie lustro nie chce mi pomóc. Patrzy z jego ram kobieta o nieco zgaszonych oczach i bardzo świeżym uśmiechu. Taką kobietę można kochać, trudno się w niej zakochać. Między temi słowami jest przepaść, większa od tej, którą stworzyło dwanaście lat rozłąki.

Lekki szmer przy drzwiach wyrwał mię z zamyślenia. Zbigniew stał nieruchomo i patrzył na mnie z uśmiechem.

— Wybacz — zawołał, składając ręce — Drzwi były uchylone... Zająrzałem, sądząc, żeś wyszła z pokoju. Byłaś tak pogrążona w kontemplacji nad własną urodą... Nie myślę cię oskarżać o próżność. Kobieta powinna wiedzieć o tem, że jest piękna...

— ...i należycie ocenić gładki komplement, prawda? Ale chciałabym wiedzieć, co ty tu robisz o tej porze? Czy znowu pilne sprawy w miasteczku?

— Zgadłaś, choć niezupełnie. Główny cel mego tutaj wtargnięcia, to nowina, którą muszę podzielić się z tobą. Dziś w Klimontowcach przygotowałem niespodziankę...

— Nie wiem jeszcze, czy będę mogła przyjechać, Zbigniewie.

— Jakto? Mogłabyś nie przyjechać?... Co też ty mówisz?

Dobry jego humor zgasł nagle, jak zdmuchnięta świeca. Zamilkł i patrzył na mnie z wyrzutem. Po chwili szepnął, raczej do siebie, niż do mnie:

— Mój Boże, a ja się tak cieszyłem...

— Ja także, Zbigniewie, przed godziną jeszcze sądziłam, że nic mi nie przeszkodzi odwiedzić Klimontowce. Ale zaszła poważna przeszkoda...

— Musi być poważna, jeżeli chcesz mi wyrządzić krzywdę.

— Krzywdę, zaraz takie słowo! — odparłam, siląc się na ton wesoły — Wogóle, uważam, że nabrałeś skłonności do przesady. Ostatecznie, nic się nie stanie, że jedno popołudnie spędzimy zdala od siebie. Tyle ich było w życiu. A prawda, wspomniałeś o jakiejś niespodziance...

— Teraz to już nie warto mówić. Drobiazg. Kazałem Wątkowej staszczyc z góry ten stary fortepian. Dwa dni czyścili go, pucowali, bo okrutnie był sponiewierany, a dziś rano przyjechał z miasta stroiciel. Majstrował, majstrował — no i ostatecznie jakoś tam poradził, bo klawisze odpowiadają. Myślałem: trzeba coś zagrać Krysiu, jak przyjedzie, to cała niespodzianka.

— I byłbyś zagrał? Wszystko, co zechcesz? Doprawdy?

— Wszystko co zechcesz.

Wyciągnęłam do niego rękę.

— Przyjadę.

Porwał obie moje ręce i począł je całować, powtarzając w kółko rozradowanym głosem:

— Jaka dobra, jaka dobra, jaka dobra...

Pal licho moje wszystkie „silne postanowienia“. Czy dlatego, że tak się podoba tutejszym mieszczanom, mam krzywdzić Zbigniewa i siebie? Kto mi wróci te krótkie chwile szczęścia, pierwsze po wielu, wielu latach i może już ostatnie? Dlaczego mi nie wolno raz jeszcze, w pogodny wieczór letni, przeżyć najśrodszych marzeń młodości mojej? Tej młodości, która minęła bezpowrotnie...

Powtórzyłam silniejszym głosem.

— Przyjadę.

XXX.

Zmierzch zapada bardzo powoli, choć nieustannie. Widzę jeszcze ciągle profil Zbigniewa, taki wyraźny na tle okna, za którym czerwień dnia gasnącego przemienia się stopniowo we fiolet.

Widzę piękną głowę, pochylającą się z lekka w takt uderzanych akordów i zarys pięknych rąk na klawiaturze. Za oknem dźwięczy cisza, w pokoju dźwięczy fortepian. Biedne, chrome klawisze, jakgdyby odzyskały młodość. Zapadają pokornie pod wszechmocnym dotknię-

ciem. Stare, stargane struny jęczą i łkają dziwnie boleśnie. Raz jeszcze zabrzmiały potężne tony Apasionaty, raz jeszcze rozplynęło się w cichych, bezradnych łzach preludjum deszczowe...

Za oknem dźwięczy cisza, w pokoju dźwięczy fortepian. Z kątown, gdzie czai się najgęstszy mrok, wypływają tłumnie wspomnienia. Senny korowód postaci ożywia się, porusza coraz raźniej. Oto przez pokój przechodzi Balbina, cicho, na palcach, aby nie płoszyć nastroju. Mocno ścisła w dłoni pęk kluczy i spieszy, śpieszy, drobnymi kroczkami. Dokąd? Zapewne do spiżarni. Bo muzyka muzyką, a wieczór trzeba mieć w pogotowiu. Niech tylko zmiłkną ostatnie dźwięki, toż buchnie gwar zmieszanych głosów! Starych i młodych. Bardzo starych i prawie jeszcze dziecięcych. Podbiegnie „ciocia Józia“ i pocznie ścisnąć syna, całować go po głowie, po oczach... „A mój ty kochanieńki, tak pięknie grasz! A powiedzcież, jaki artysta z niego się zrobił! Ot, Fencia, serce moje, żeby tak mogła usłyszeć“.

A potem podchodzi Emilka. Ma jeszcze oczy pełne łez, tych, których nie zdążyła wypłakać nad mogiłkami Hani i Zdzisia. Podchodzi prosto ku mnie, opiera głowę na mem ramieniu i już nie płacze, a szlocha Biednym, starganym od łkania głosem powtarza moje imię, jakby na świecie nie było innego słowa, którym można wyrazić tyle cierpienia:

— Krysiu... Krysiu... Krysiu...

Otoczam ją ramieniem, gładzę jej włosy, tak wcześniej posrebrzone, utulam jej troskę pieśczołą, w której jest obietnica. Już dobrze, już będzie dobrze. Zobaczysz, będzie dobrze. Emilka podnosi głowę, ociera łzy i oczy nasze jednocześnie szukają Eli. Siedzi tam, w kątku, nieruchoma, drobna, skulona tak, że prawie ginie w wielkim fotelu. Wąska twarzyczka bieleje na tle ciemnego odbicia i tylko jarzą się oczy. Wielkie, nadmiernie rozszerzone źrenice, wpatrzone uporczywie w Zbigniewa. Jest w tem spojrzeniu i prośba i bunt — cała gorzka tragedia zapoznanej miłości.

Już dobrze, już będzie dobrze, Emilko. Już wiem, rozumiem...

Jednym, krótkim westchnieniem przekreśliłam całą przyszłość. Zawczasu gotuję się na walkę, w której powinnam zwyciężyć. Pośpiesznie czynię przegląd tych

kruchych argumentów, gotowych stopnieć, jak śnieg od wiosennego słońca. Co ja mu powiem? Jak ja mu powiem?

W tej chwili Zbigniew zbliża się ku mnie. Czuję jak słabnie cała moja odwaga. Nie, nie, to niemożliwe. Czyż mogłabym go utracić? Te słowa, te kochane słowa:

— Dziś grałem tylko dla ciebie. Czulaś to?

— Tak, tak...

Oglądam się z rozpaczą. Emilka wyszła z pokoju. Ela, nieporuszona, siedzi na dawnym miejscu i patrzy na nas.

— Krysiu — szepcze Zbigniew — Krysiu...

— Tak, tak...

Dotknął mej ręki. Uśmiecha się i mówi:

— Pomyśl, już niedaleki czas...

— Tak, Zbigniewie — powtarzam, jak automat — Już niedaleki czas...

Co to? Czy cały pokój wiruje? Wszystkie postacie rozpluwają się w mgłę, która zasnuwa mi oczy. Nie ma już „cioci Józia“, Janusza, Eli. Tylko znajomy, drogi głos szepcze:

— Co tobie? Płaczesz?

To Zbigniew przestał grać. Podszedł tak cicho. Pochyla się nademną, patrzy. Powtarza:

— Krysiu? Ty płaczesz?..

— Tak, tak...

Odzyskuje świadomość czasu i miejsca. Spoglądam w okno. Ostatnie błyski dnia pogasły dawno. Z sąsiedniego pokoju, przez drzwi otwarte pada snop światła. To stara Wątkowa przyniosła lampę. Ocieram łzy, odgarniam włosy z czoła, uśmiecham się i mówię:

— Już przeszło. Grałeś zbyt pięknie.

Zbigniew milczy. Wiem, że za chwilę powie: „Grałem dla ciebie“. I wiem, że nie należy pozwolić, by to powiedział. Poczynam się niezdarne tłumaczyć: To preludjum zawsze na mnie tak działa... Nie mogę słuchać go spokojnie... Tyle w niem bólu, męki, taka bezbrzeżna melancholja...

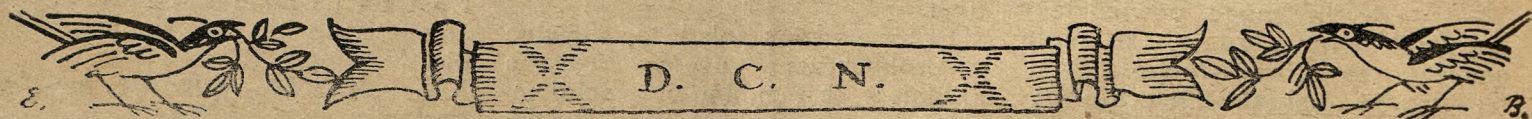
— A przytem, w twojej interpretacji...

Właśnie. In — ter — pre — ta — cji. Co za bajeczne słowo. W mgnieniu oka skupiam całą uwagę, aby je wymówić bez omyłki. I po chwili już innym tonem, karcąco:

— Jak mogłeś zarzucić muzykę? To zbrodnia.

Do pokoju wsuwa się Wątkowa.

— Proszę pana, czy już można podawać?... — pyta nieśmiało.



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



WINDA ANTYFEMINISTKA

Zabawne zdarzenie opisuje tygodnik angielski „The Woman's Leader”. Miało ono miejsce na uniwersytecie w Leeds, który do niedawna słynął jako nastrojony wysoce antyfeministycznie: czynił bowiem kobietom wszelkie możliwe utrudnienia przy zapisywaniu się na wykłady, udzielaniu patentów etc. Najzaciętszym wrogiem kobiet był pewien profesor, który wywierał nacisk na innych swoich kolegów, aby nie dopuszczali studentek do uczelni, przeznaczonej, jak twierdził, wyłącznie dla mężczyzn.

Jednakże i w konserwatywnej Anglii postęp wprowadzie wolnym, ale stanowczym krokiem posuwa się naprzód! Grono profesorów w Leeds doszło do przekonania, że czas byłoby już zmienić swe stanowisko w stosunku do kobiet, zwłaszcza, że ów główny wróg płci pięknej już od lat kilku nie żył. I oto postanowiono udzielić (pierwszy raz w dziejach uniwersytetu) dyplomu doktora honoris causa — kobiecie. Miała nią być córka króla angielskiego, księżniczka Mary.

Gdy jednak księżniczka przybyła na ową uroczystość, zaszedł fakt nieoczekiwany. Oto winda, służąca do przewożenia gości z holl'u do sali aktowej, nagle i z niewytłomaczonych powodów stanęła i nie dała się żadną siłą poruszyć z miejsca. Naprawdę spróbowani pośpiesznie mechanicy usiłowali odkryć przyczynę uszkodzenia mechanizmu — wszystko znaleziono w najlepszym porządku, winda jednakże nie chciała funkcjonować.

Przypomniano sobie dopiero wtedy, że już przed rokiem, gdy księżniczka w towarzystwie kilku pań chciała zwiedzić gmach uniwersytetu, winda również zastrejkowała w podobny sposób. Nie było rady, trzeba było księżniczce wręczyć dyplom honorowy w holl'u, natomiast po dokończeniu się uroczystości winda znowu zaczęła funkcjonować normalnie, nie wykazując żadnego uszkodzenia.

Sensacyjnym tym faktem zainteresowało się Londyńskie Towarzystwo Badań Psychiczych, któ-

re przypuszcza, że to duch zmarłego profesora antyfeministy usiłował w ten sposób przeszkodzić niemiłej dla niego uroczystości.

ŻYCIE W HAREMACH

W związku z projektowaną obecnie w Turcji ustawą, znoszącą wielożenstwo, jedno z pism angielskich, wychodzących w Turcji „Bagdad Times”, zamieszcza list p. t. „Głos z haremu”. Kobieta, która go napisała, nie miała odwagi położyć pod nim swego nazwiska, zastępując je tylko inicjałami. Szczegóły w tym liście zawarte, są tak bolesne, świadczą o tak straszliwej niewoli kobiety w państwie, które bądźco bądź uważa siebie za państwo cywilizowane, że doprawdy przytoczyć warto ten głos kobiety tureckiej w całej jego prostocie i bolesnej rezygnacji.

„Jesteśmy wciąż jeszcze traktowane nie jako małżonki, lecz jako niewolnice: z najwyższym lekceważeniem i pogardą. Z chwilą, gdy kobieta wschodnia opuszcza dom rodzicielski, aby wejść pod dach męża, rozpoczyna się dla niej niewola, która trwa do końca jej życia. Mąż jej zdaje się nie zdawać sobie sprawy, że jest ona takim samym człowiekiem, mającym te same uczucia i pragnienia, co on. Przeciwnie skłonny jest raczej do uważania jej za jakąś istotę, podlegającą zupełnie innym prawom duchowym i fizycznym, za istotę, obdarzoną siłami, nigdy nie użytymi i cierpliwością, nigdy nie wyczerpaną. Ze spokojem patrzy on, jak żona jego od świtu do późnej nocy pracuje, jak zwierzę pociągowe, znosząc przytem w milczeniu i cierpliwie jego gniew, obelżywe słowa, a często nawet bicie. Po takim dniu, zmęczona, wyczerpana fizycznie nieszczęśliwa kobieta, zdawałoby się mogło — ma wreszcie prawo do zasłużonego spoczynku. Gdzież tam! Musi ona oczekiwać na męża, wracającego z pogawędki przyjacielskiej lub wesołej zabawy; a gdy wreszcie — nieraz późno w nocy — przekroczy próg domostwa, wita ją na wstępie przekleństwem, a często nawet i szturchańcem, za to, że zmęczona całodzienną pracą, zdrzemnęła się i nie od razu usłyszała jego kołatanie do drzwi.

Mężowie tureccy nie zdają sobie poprostu sprawy, jak wielkie wartości duchowe musi posiadać kobieta, aby tego rodzaju życie znieść cierpliwie, bez skargi, z uśmiechem na ustach. Na wschodzie panuje przekonanie, że bohaterstwo jest tylko wyłącznym przywilejem mężczyzn. Tak nie jest! Prawdziwymi bohaterkami są

właśnie kobiety wschodnie — wierne, kochające i oddane — bez względu na to, że za swą miłość nie otrzymują innej zapłaty, prócz zniewagi, pogardy i upokorzenia“.

Z. B.

Z KSIĄŻEK

A. S. M. Hutchinson — „Taka to i wolność.“ Powieść. Tłom. z angielskiego Bronisława Neufeldówna. Wyd. Biblioteki dzieł wyborowych. Warszawa, Sienkiewicza 12.

Książka Hutchinsona w doskonałym tłumaczeniu Br. Neufeldówny zasługuje na szczególnie baczną uwagę w piśmie, które tak szeroko uwzględnia problem zarobkowej pracy kobiet, zwłaszcza mężatek.

Motto powieści — „Za wysoką cenę zdobyłam tę wolność.“ Założenie — przekonać czytelnika na mocy jaskrawych obrazów, że życie rodziny, pozbawionej ogniska domowego, gdy mąż i żona pracują na mieście, a potomstwo, oddane w ręce płatnych wychowawców, — musi skończyć się katastrofą. Dziecko, jak małe kurczakto, nie może żyć bez ciepła skrzydeł matczynych. Odbija się to krzywdą na całym jego życiu i pędzi w otchłań nieszczęścia.

Zostawił autor na boku zagadnienie koniecznej pracy obojga małżonków dla wyżywienia rodziny, co po wojnie stało się zjawiskiem aż nadto powszechnym. Pominął również jeden z tych licznych wypadków, kiedy wdowa, rozwódka lub żona chorego, znieodolnialego człowieka musi wziąć na swoje barki cały ciężar utrzymania domu. Nie uwzględnił trzeciej jeszcze okoliczności — gdy żonę, matkę odrywa od jej przyrodzonych obowiązków talent niezastąpiony, genjusz poezji, muzyki, malarstwa.

Bohaterka jego ukochała biuro. To prawie paradoks, który Hutchinson stara się usprawiedliwić szczególniejszym pociągiem przyszłej matki trojga ślicznych dzieci do „cyfr“, do operacji handlowych, do „tajemniczych potęg“, które przemawiały do niej z kantorów, gdzie dokonywały się obroty pieniężne.

Przeczytała książkę „Lombard Street“ Bagehota i to wywarło na umyśle jej piorunujące wrażenie. Nie mogła nacieszyć się odkryciem, że pieniądz jest najbardziej tajemniczym i najdziwniejszym towarem na świecie, bo — wydatkujesz go, a on wciąż wraca do ciebie.

To zdecydowało o jej powołaniu. Musiała zostać urzędniczką jakiegoś banku. No, i została. Po pewnym czasie ofiarowano jej pokój oddzielny ze wspaniałym biurkiem mahoniowym. Objęła kierownictwo całego wydziału.

Czy wymagającego jakichś specjalnych zdolności finansowych, specjalnego nerwu i intuicji w przewidywaniu i chwytności na gorąco obrotów giełdowych?

Bynajmniej Praca, która tak oczarowała młodą kobietę, była po prostu zwyczajnym poradnictwem zawodowym i szkolnym udzielaniem wskazówek w różnych sprawach domowych, ubezpieczeniowych, w lokacie kapitałów i t. p. Utworzono tę sekcję w Banku dla przyciągnięcia klientów, a młoda urzędniczka dźwignęła ją swoim sprytem tak, że rozrosła się do potężnych rozmiarów.

I oto — gdy każda inna kobieta z lekkiem sercem byłaby rzuciła teren takiej dochodowej pracy, wychodząc z zamiarem człowieka bardzo wybitnego i bardzo wiele zarabiającego — biuralistka z powieści angielskiej nie chciała jej się wyrzec. Miała

dziwny lęk przed pojęciem „domowego ogniska,” dla którego żeni się mężczyzna, którego pragnienie przynosi z sobą na świat. Ten myśliwy, co musi mieć swoją jaskinię, żeby wracać do niej z łowów, musi mieć własne schronisko dla przechowywania swojej żony, swoich dzieci, swoich psów, ksiązek, służby, skarbów i — swoich pantofli..“

Te refleksje przepełniały umysł Rozalji — imię bohaterki powieści — gdy na kilka tygodni przed ślubem — przy boku człowieka nad wszystko kochanego, pięknego, młodego, sławnego, bogatego — szukała cichej, mieszkalnej przestrzeni dla siebie i niego. Jej byłyby wystarczyły dwa skromne pokoje. On — wynajął cały duży dom, a z oczów jego biła myśl, że tu chce stworzyć „ognisko,” tu chce mieć wszystko swoje na własność — żonę, dzieci, psy, książki..

Mąż Rozalji, głośny adwokat, mógłby zarobić na utrzymanie kilku rodzin, nie jednej. Mimo to — nie chciała wyrzec się swego mahoniowego biurka w oddzielnym pokoju. swoich różnobarwnych porad w przedsiębiorstwie p. Sturgissa na West End londyńskim. Jeździła więc do biura codzienne, a krótkie przerwy, które sprawiały jej przykrość, nastąpiły tylko po przyjęciu na świat pierwszego, drugiego i trzeciego dziecka.

Prawda — zachwiała się raz jeden. Odesłała nawet klucz od swoich mahoniów z listem, że przestaje pracować.

Było to w chwili, gdy podczas rozmowy z dziećmi przekonała się, że nauczycielka ich, bardzo wykwalifikowana, bardzo drogo płatna Miss Prescott, kształci w nich tylko rozum, nie serce, a jako jedyny cel bytu wskazywała im zadowolenie z dnia powszedniego. „Jestem tutaj po to, żeby być szczęśliwym!” — Inne dążenia zbyt ciche. A bajki, legendy z zamierzonych epok? — Po co? — Tylko zaciemnienie umysłu. Tylko podważenie zasad czystej logiki.

I oto okazało się, że całe Pismo Święte — historia potopu, arki Noego, przejścia przez Morze Czerwone — to bzdury, banialuki. Hugo, syn pierworodny, egzaminowany z tych rzeczy przez ojca i matkę ruszał ramionami i wydymał wargi wzgardliwie, jak gdyby drwiąc z rodziców, którzy to brali na serio.

Rozalja, córka pastora, wychowana w wierze głębokiej, czerpiąca pierwsze wiadomości o świecie i ludziach z ust matki, dla której serce było jedynym wskaźnikiem systemów pedagogicznych, ujrzała nagle przepaść między sobą, a dziećmi. Ona dla nich, one dla niej były obce..

Odprowadziła Miss Prescott i sama zajęła się nauką swojej trójki. Ale nie szło. Nie umieli trafić do siebie. Na ustach starszego chłopca błąkał się wciąż ten szyderczy uśmiech, który stalowem ostrzem przycinał każde słowo matki, budząc oddźwięk wśród młodszego rodzeństwa.

Obcowanie z niemi — zamiast rozkoszy, stało się męką. Oddano je do szkół. Młoda matka wróciła do biura. Opustoszało domowe ognisko, a czoło męża — ojca rodziny zarwło się brzdąką smutku.

Powieść ma rozpaczliwe zakończenie. Dzieci, dorastając — coraz bardziej oddalają się od domu i rodziny. Każde z nich znajduje jakieś własne środowisko — przyjaciół, kolegów i koleżanek, o których mówią półgębkiem. Nie związane żadnym węzłem z ojcem ani z matką, nie chcą spędzać razem z nimi nawet wakacji, kiedy oboje rodzice mają urlopy, a lekcje w szkołach są zawieszane. W końcu rodzina przestaje wiedzieć o sobie. Hugo — najstarszy, wraca późną nocą pijany, a kiedy Rozalja poważyla się zrobić mu wymówkę, zwracając uwagę, że nie wolno mu tak martwić rodziców, nie wolno wnosić w dom takiego nieszczęścia, że nie po to wychowywano go, aby stał się zakałą rodziny — okrył ją wstydem, — ruszył ramionami

i ze zwykłym swoim cynizmem rzucił niedbale:

— Czyż mnie kto kiedy wychował? Czy ja w ogóle miałem matkę?

Córka, Doda — piękna, niezwykle zdolna i bystra dziewczyna — wymykała się chyłkiem wieczorami, gdy światło zgasło w pokoju rodziców. Tylko Hugo wiedział, gdzie bywa, bo spotykali się w miejscach, na których samą nazwę włosy stanęłyby na głowie ojca i matki.

Wreszcie pierworodny — zrobiwszy jakieś wielkie, powojenne nadużycie, rzucił się pod pociąg. Doda umiera wskutek tajemniczej operacji, dokonanej przez акушера — łotra z pod ciemnej gwiazdy, który nie zawałał się przed zbrodnią..

* * *

Książka napisana niewątpliwie dla odтворzenia w filmie — szerokimi, zwartymi rzutami o mocnym napięciu treści obrazów. Niedomówienia skrótów, szybko po sobie następujące, niekiedy urywane w połowie sceny o tęgim, „skondensowanym” wyrazie, świadczą niewymownie, że autor postanowił iść ze swymi hasłami w tłum drogą ekranu.

Czy osiągnął cel?

Rozalja ze swoim dziwnym przywiązaniem do biurka na West End, ze swym kultem dla „Lombard-Street” Bagehota jest tak dziwaczna, tak potwornie spaczną zjawą, że tylko ruszyć ramionami i przejść nad nią do porządku dziennego.

Mogła znaleźć się taka osobliwość w świecie kobiecym, która — mając wszystko, o czym marzy młoda dziewczyna, nie opętana wizją sławy lub żądzami bachantki, wzgardziła szczęściem i spokojem domowego ogniska dla chimery jakiejś ważnej, jakoby pracy biurowej, a także w imię hasła samodzielnosci (mąż — kochający, szlachetny, liberalny i ustepliwy, zapewnił ją zresztą w zupełności). Mogła znaleźć się taka chorobliwa, na punkcie źle zrozumianego feminizmu przeczulona jednostka. Ale wyjątkami nie straszysz się ogółu.

Czemu — w przeciwstawieniu do zwarjowanej amatorki biurka na West End nie przedstawił Hutchinson jednej z tych skolatanych matek, które — ślęcząc nad cyframi, siłąc się na możliwie dokładną, wzorową pracę w banku, biurze, kancelarji, kantorze, myślą tylko o domu opuszczonym, o dzieciach pod obcą opieką. To już nie wyjątki, to zastępy, to niepokojąco rozpaczliwy legion, dla którego szukać trzeba ratunku.

Oddaj dzieci w ręce płatnych wychowawczyń matki — artystki, matki — damy światowej, nawet nieraz matki — społecznice.

Z pasji dla biura samego, dla idei pracy przy własnym biurku w oddzielnym pokoju, rzuciła je chyba jedna tylko Rozalja, bohaterka zajmującej zresztą, żywej i barwnej, doskonale — jak zaznaczałam to na wstępie — przetłomaczonej powieści.

C. W.

Cokolwiekby mówiła wpływologia o naleciałościach i źródłach, z których rzekomo Fredro czerpał — pozostanie zawsze niezachwianym pewnikiem, że czerpał przede wszystkim z owego polskiego ruczaju. Polskie źródło dało jego dziełu życie, kolor i smak.

„Damy i Huzary” są jedną z tych komedij Fredry, które pozornie mogłyby być transponowane na inne, obce języki.

Tylko pozornie — gdyż pod mundurami tych napoleońskich żołnierzy najwyraźniej czuje się rdzennych naszych hreczko-siejów i koniarzy, znajdujemy w nich polską dobroduszość, polską rubaszość i polski temperament, co to gotów w każdej chwili wybuchnąć i zaraz w następnej chwili każe niedawnym wrogom ręce do siebie wyciągać i dawnych uraz zapomnieć. Polskie w swoim nieposkromionem gadulstwie i pewności zwycięstwa nad pięćmęską są siostry majora, polską jest Zosia, pozornie tak uległa, posłuszna i naiwna, ale jakże odważna, nawet zachwała w swoich umizgach do starego majora, gdy chodzi o zdobycie prawa poślubienia ukochanego!

Podkreślić tę polskość, tak miłą naszemu sercu, bo szczerą i prawdziwą, jest głównym zadaniem inscenizatora i reżysera komedji Fredry. Dyrektor Kamiński wywiązał się z tego zadania po mistrzowsku.

Pogodna akcja „Dam i Huzarów” rozwija się w Teatrze Narodowym w czterech ścianach miłego dworku szlacheckiego. Portrety i minjatury na ścianach mówią o tradycjach jego mieszkańców. Broń i mundury huzarskie — o zamiłowaniach obecnego gospodarza i jego towarzyszków broni. Czaka, kurtki, siodła, czapaki (wszystko to wykonane w pracowni teatralnej według wzorów mistrza Rozena) rażą oczy dam, ale miłe są sercu wiarusów i trzech przemiłych pokojoweczek, które uśmiechają się mimowoli na widok świetnych mundurów i z ochotą przyjmują umizgi starego Grzesia.

Wiarusami byli: Frenkiel, Jaracz, Owerłło i Bednarczyk. Nazwiska te nie potrzebują komentarzy. Aktorzy dawnej szkoły (za wyjątkiem jednego Jaracza, który jednak nie ustępował w niczem starej gwardji), którzy Fredrę grać umieją i grać lubią.

Frenkiel czuł się tak swobodnym w mundurze majora, jak gdyby nigdy nie był cywilem. Jaracz był nieporównany w scenie z panną Anielą. Bednarczyk, jako Grześ, był wzorem subordynacji i miłej familjarności. Owerłło — Rembo, ze swadą rąbał prawdę w oczy koledze i zwierzchnikom, ratując wszystkich przed ośmieszeniem się i zrobieniem głupstwa. Kapelanem był dyr. Kamiński. Gdybym chciała szczerze wypowiedzieć, co myślę o jego grze, musiałabym użyć samych superlatywów, nie stosowanych w ocenie gry tak dyskretnej.

Liczne brawa, przy otwartej kurtynie, najlepiej świadczą o zachwycie i entuzjazyście widzów.

Miłym i pełnym wdzięku porucznikiem był pan Hnydziński. Naprawdę, niewiele można zrobić z roli, w której należy być czułym, sentymentalnym, zakochanym. Ponieważ Zosią była p. Majdrowiczówna, szczerze współczuliśmy panu Hnydzińskiemu w jego chwilowych trudnościach z dobytciem jej ręki.

Surową gadułą — matką i ciotkami były pp. Rotterowa, Junosza-Gostomska i Horwatkówna. Wobec humoru Frenkiela, Jaracza i niezrównanego „nie uchodź” Kamińskiego, humor ich był nieco błady, trudno jednak mierzyć się z podobnymi mistrzami!

Zuzię, Fruzię i Józję uosabiały pp. Arnoldówna, Lenerówna i Dziewońska. Wniosły one na scenę nieklamany wdzięk i czar młodości, a jeżeli były trochę „niestyle” w swoim rozchowaniu — przebaczymy im to chętnie: były prześliczne.

Z. P.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

„Damy i Huzary”

Źródło polskości obfite jest i wiecznie żywe: wiele zeń wypływa rzek i ruczajów, jedne wspaniałe i dumne, inne górskie i rwące, inne jeszcze ciche i spokojne.

Jednym z takich nurtów, nie najgłębszym może, ale powszechnym, wszędobylskim, nienazwanym strumieniem, który przecina każdą polską wieś i pod każdym płynie miastem, jest Fredro. Jest to twórczość tak polska, tak rodzima, jakiej trudno do szukać się w polskiej literaturze.

ORYGINALNY

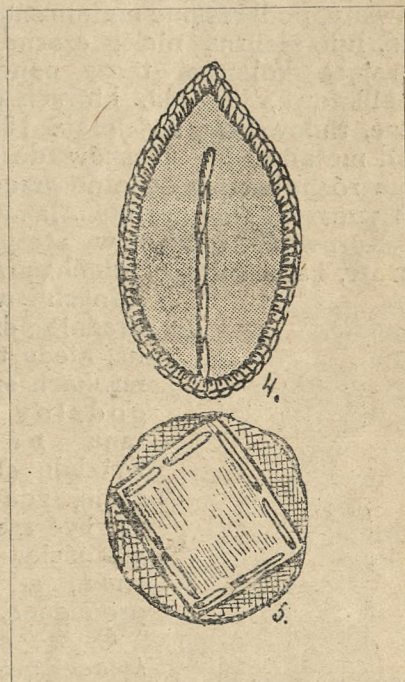
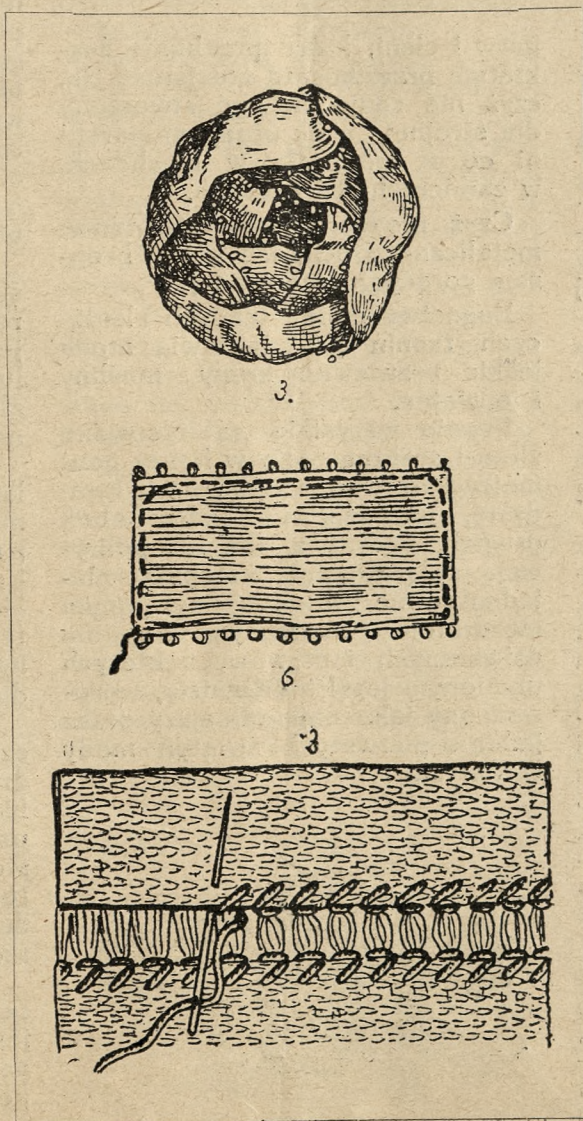
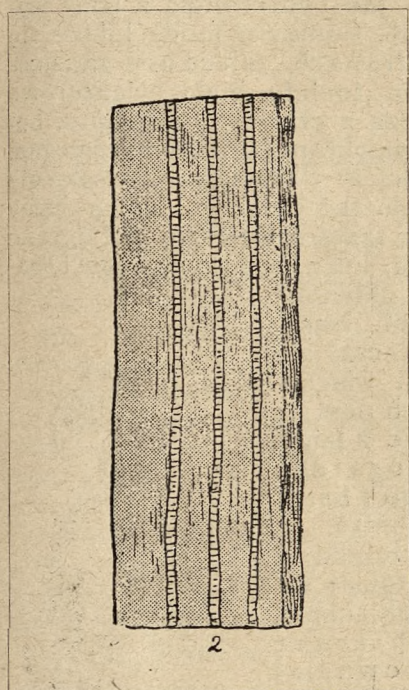
Czepeczek (rys. 1) jest zrobiony z kawałka jedwabnego, cienkiego trykotu 23 ctm. długiego, a 60 do 65 ctm. szerokiego stosownie do obwodu głowy. Przy obrębkę 3 ctm. szerokim robi się pas mereżki na 2 lub 3 oczka zależnie od grubości trykotu (rys 2). Mereżki w trykocie nie robi się, wyciągając nitki tak, jak w zwykłych materiałach—ale przez spuszczenie dwóch lub trzech oczek od brzegu, które obdzier-



trów szerokiej, oddalone od siebie o 4 ctm., wciąga się w brzeg czepek gumkę — górę marszczy się. Wstążka, idąca od zmarszcze-

CZEPECZEK

nia górnego, przechodzi pod brodę i zapina się z boku na zatrzask, ukryty pod kwiatem z wstążki. Kwiaty takie robi się z wstążki atłasowej, crêpe de chinowej lub taftowej, zakończonych pikotami. Ukrajawszy podwójne kółko z tarlatanu, 27-em mil. średnicy przyszywa się na niem dużemi ścięgami kawałek wstążki (rys. 5), stosownie do grubości wstążki kraje się 6 do 8 listków 4 do 5 ctm. długich, które marszczy się



guje się jak zwykle, mocując trzy lub cztery nitki. Robi się to mocowanie z lewej na prawą stronę jak to (rys. 7) wskazuje. Nitki, przeznaczone do umocowania otacza się wkładając igłę od tyłu do przodu, wyciąga się ją i zacieśnia ściąg — postępując tak w dalszym ciągu. Zrobiwszy 3 rzędy mereżki 8 do 10 milime-

z 3-ch stron (rys. 6), przymocowywa się je na zewnątrz kółka (rys. 3), układając tak, aby strona nie: zmarszczona szła do góry, 3 kwiatki robi się na wierzch czepeczka i po jednym na każdy bok.

Obdzierguje się na atłasie lub aksamicie kilka listków (rys. 4), które wycięte z ręcznie otaczają kwiatki.

GDY LIŚCIE OPADNĄ...

Ostatnie liście, spadające z drzew w jesieni, znaczą sobie złocisty szlak.

Z poza zamkniętych drzwi, które w noc Sylwestrową odemkną się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gdy zegary północ wydzwonią, płynie ku nam już dzisiaj, dreszcz radosny, dreszcz pełen zwodniczej, rozkosznej i zawsze nowej treści.

Piękna Pani, którą gong, zwiastujący narodziny Nowego Roku, wita jako pierwszą z adeptek karnawału, a która z rozszalałej, strojnej i barwnej areny zejdzie, gdy przebrzmi dzwon, co w popielcową noc na skruchę gra grzesznikom, ma tak szerokie pole do popisu, czerpiać natchnienie w cudzie modnych tkanin, że niezawodnie w tym karnawale, jak motyl w słońcu, zagra wszystkimi barwami tęczy. Aksamity gładkie, aksamity miękkie, cudnie się układające, znaczone nieśmiało i delikatnie rysunkiem o interesującym pierwiastku kubistycznym, georgette'a haftowana w barwne kwiaty, podkreślone metaliczną złotą, lub srebrną nicią, czarne lub grające kolorami tęczy pailletowe, koronki, których pajęcze, tiulowe tło, zaścielają lśniące od metalicznych błysków desenie, lub różnobarwne kwietne grzedy.

A wreszcie clou sezonu... lama.

Korowody strojne w eteryczne szaty, każą śnić o cudach, przeżywanych w obrazni dziecka, kiedy to w mrokach szarej godziny, czytana bajka wcielała się w życie, zdawała się być rzeczywistością, nie snem, a jawą promienną.

Czyż szata śpiącej królewny, której łożo złotogłowiem wysłano, mogła być piękniejszą od tej, tak modnej, a cudnej z lamy koloru skarabeusza, o zielonawych błyskach i nieprawdopodobnej wprost poświacie?

A płaszcz z tkaniny złotej koloru wosku, znaczoney kwiatami wszystkich



barw i cieni, które przebijają dyskretnie przez bogatą złocistość tła, czyż nie zdaje się być stworzony dla strojnej, a okrutnej monarchi ni, co w królowała w klechdach, w zamierzchłych czasach.

Czyż nie dla Tytanji stworzono metaliczną złocistość lamy, bronzem gorącym przegowanej?

Bogactwu metalizujących i lśniących tkanin przeciwstawia moda lekkie i zwiewne krepy, muśliny i jedwabie.

Prawie wszystkie są rysowane złotą i srebrną nicią w figury geometryczne. Czworoboki, owale kwadraty, umieszczone jedne obok drugich, tworzą szlaki, lub pokrywają całą tkaninę, ustępując niejednokrotnie miejsca ogromnym kwadratami, tworzącym tło, dla dziwacznych motywów, z których ulubionym jest Ptak Ognisty, wprowadzony jako najmodniejszy przez jedną z pierwszych świątyń mody w Paryżu.

Z tkanin kombinowanych na suknie balowe, najmodniejsze będą georgette'y, lub jedwabne muśliny, inkrustowane aksamitnymi kwiatami i wszelkimi warjacjami złota.

Najmodniejsze kolory, sygnalizowane nam przez zagranicę, o nazwach jeszcze nie spolszczonych, to kolory „bleu passé“, „rose eteint“, „aubergine“, kolor drzewa różanego i królujący kolor „bordeaux“.

Linja sukien pozostaje nieskomplikowana. Wybitne rozszerzenie w dole i tiunika, wnoszą trochę zmiany i nowości.

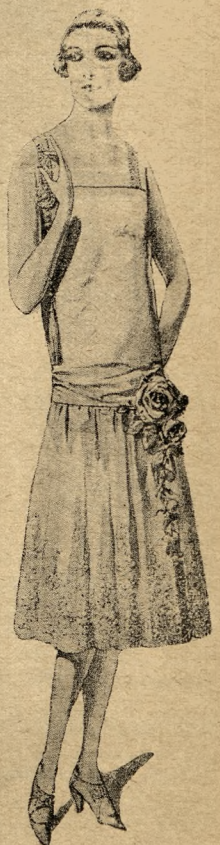
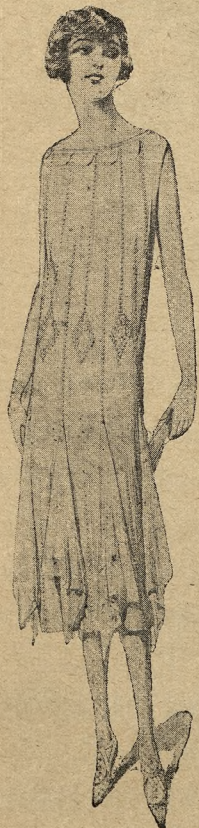
Sezon zimowy wysuwa, jak zwykle na pierwszy plan futra, dając im jednak w tym roku pierwszeństwo i prawo bytu specjalne. Najmodniejsze, jako przybranie do płaszczy, zarzucanych na suknie balowe i wieczorowe, będą muflony o włosie sztucznie rozfryzowanym i szerszyle płaszczce, tak zwane „sorties de bal“ modne są na równi aksamitne, jak i całkowicie z lamy wykonane. Ponieważ moda lubuje się w kontrastach, zaleca nam zarzucenie na toaletę białą wieczorową płaszczka z czarnego aksamitu, bogato przybranego futrem o śnieżnej białości — i odwrotnie. Wspaniale wygląda też okrycie balowe z lamy koloru szmaragdowego, wyłaczane złotem, lub z karmazynowego aksamitu, okładane białymi lisami.

Woreczki do sukien wieczorowych nosi się jedynie z lamy, lub bogatego złotego i barwnego haftu.

Pantofelki z lamy, takiej samej, jak suknie, przybierane kosztownymi klamrami, złotymi kwiatami, lub sztucznymi diamentami.

Najważniejszym w tej dziedzinie barw i blasków, będzie umiejętne dostosowanie tak tonu, jak linii, do rodzaju naszej urody.

Najpiękniejsza toaleta nie jest w stanie podnieść urody kobiecej, jeżeli



pozbawioną jest daru, podkreślenia jej uroku, a więc pogłębienia barwy zrenic, uwydatnienia koloru włosów, podniesienia cery, no i wreszcie misternego, a mistrzowskiego owinięcia kształtu jej ciała.

Ubrać się umiejętnie i odpowiednio, to wielka i trudna do opanowania sztuka, zarodki jej przynosimy zwykle ze sobą na świat, jak i wszelkie inne uzdolnienia i talenty.

Te z nas, co nie posiadają odczucia swego typu, winny starać się dobrać sobie magazyn, na czele którego stoi osoba o pewnym i wyrobionym guście, który uchroni nas od wielu kosztownych, a nieestetycznych omyłek.

Szczególniej suknie balowe winny nosić na sobie wybitne piętno gustu i artyzmu, wyszukanie i wykwint, umiejętny dobór barw i tkanin, mistrzowskie wypieszczenie szczegółów i pomysłowość daleką od szablonu, nakreślonego w żurnalach mód, pomysłowość indywidualną, której natchnieniem będzie uroda poszczególniej jednostki.

Dar dobywania efektów, stanowi wielką siłę i pozwala nam niejednokrotnie wyprzedzić najpiękniejsze. Uroda to skarb prawdziwy, umiejętność podkreślenia jej robi go bezcennym.

W. D.

JAK SIĘ ROBI MOLĘ?

Zeszłego lata w Paryżu starano się wprowadzić modę. Kilka ekscentrycznych elegantek dostosowywało do toalet kolor swoich piesków. I tak z przerażeniem i współczuciem patrzano na foxy różowe, lila, niebieskie, lavande lub tango, z miną zawstydzoną spacerujące ku wielkiej ucieście gawiedzi ze swoimi tyrankami i z głębokim upokorzeniem znoszące sarkastyczne spojrzenia współbraci. Nie przyjęła się jednak we Francji owa moda farbowanych psów. Po kilku pojedynczych wybrykach zarzucono ją. W Anglii natomiast rozpoczęto w tym roku próby odwrotne tej zabawki, przystosowując nie kolor psa do pani, ale jej toalety do jego maści.

W jednym z miast angielskich w bieżącym roku, na wystawie psów piękna hodowczyni wystawiła cztery wspaniałe psy dalmackie, odznaczające się śliczną, białą skórą, bogato centkowaną czarno. Kazała zrobić sobie suknię i kapelusz z materiału białego, na którym identycznie, jak u psów, rozmieszczone czarne kropki, do złudzenia przypominały ich skórę, i tak dumna ze swego pomysłu, przechadzała się z faworytami na smyczy. Te, uszczęśliwione z podobieństwa do swej pani, nie przeczuwały biedaki,



jak drogo okupić je będą musiały. Jeżeli pani znajdzie naśladowczynię, które udoskonalając jej pomysł, zamienia tak bardzo noszone zeszłej zimy w Paryżu, obróżki z pereł, zwane „collier de chien” na prawdziwe obroże z psiej skóry, na jakie niebezpieczeństwo narażone będą zgraje psów i piesków pokojowych, jeżeli lekkomyślna Angielka wprowadzi w modę, której fantazje nie znają granic — psią skórę. Jakim powodem niepokoju będzie ona dla tych, dla których pies jest przyjacielem, jeżeli będą się spodziewały, że zaginionego ulubieńca nie odnajdą inaczej, jak w oknach pierwszorzędnym magazynów pod postacią modnej galanterji damskiej — z psiej skóry. Bardzo prawdopodobne, że wkrótce furorę robić będą materiały kropkowane i centkowane według psiego wzoru lub farbowane w kolorach — psiej maści. Czy będą one gustowne, trudno przeczuć, ale, że „co modne, to ładne,” więc napewno znajdą nabywców i przyniosą zyski wytwórcom.

Eska.



Z DZIEDZINY KOSMETYKI

(ciąg dalszy)

Ważną cechą skóry jest to, że nie może ona należycie wchłaniać z powodu warstwy zrogowaciałej naskórka. Należy ją rozmiękczyć za pomocą tłuszczu, masażu lub kąpieli. Wtedy to wchłanianie lekarstw następuje gwałtownie.

Wreszcie skóra jest organem czucia z powodu umieszczonych w niej komórek czuciowych — jest to jeden z naszych zmysłów. Uczucie dotyku, bólu, ciepła, zimna, rozkoszy, a także swędzenia, łaskotania, drętwienia; są to wszystko zjawiska, których ujawnienie zawdzięczamy skórze.

Dotyk daje nam poczucie kształtu przedmiotów, spistości i powierzchni.

Pozatem skóra daje nam możliwość lokalizacji uczucia, np. możemy dokładnie określić miejsce, po którym spaceruje mucha.

Utrata dotyku przy pewnych schorzeniach naraża ustrój na ciężkie straty. Ma to miejsce przy trądziku, schorzeniach rdzenia pacierzowego, zaburzeniach czynności nerwowych.

Zaznajomiwszy się w ogólnych zarysach z budową skóry i jej rolą w organizmie, widzimy, jak wielkie znaczenie mają kąpiele wodne, powietrzne i słoneczne dla każdego osobnika.

Po spoceniu się konieczną jest natychmiastowa kąpiel, uwolnienie organizmu z tych wszystkich substancji szkodliwych dla ustroju. Czy należy myć się ciepłą wodą, czy zimną, mydłem, czy bez mydła? — pytanie, jakie najczęściej stawiają pacjentki.

Jeżeli chodzi o ogólne obmywanie, to uważam za konieczną kąpiel letnią przynajmniej raz na tydzień, zaś codziennie zmycie całego ciała wodą, chociażby w miednicy. Naturalnie, że w warunkach idealnych poleciłabym kąpiel letnią codziennie.

Bardzo dobre rezultaty daje dodawanie do kąpieli sody oczyszczonej lub soli aromatycznych — łyżka na litr wody. Kąpiel taka doskonale zmiękcza naskórek i czyni skórę miłą i delikatną w dotyku.

Co do temperatury kąpieli, najlepsza jest woda o temperaturze pokojowej, gdyż odświeża, nadaje skórze barwę zdrową — jednak zmywanie wodą zimną nie wystarcza; należy twarz obmywać od czasu do czasu wodą gorącą, a opłukiwać zimną o ile skóra jest normalna.

Przez mycie wodą gorącą otwierają się pory, umożliwia się odde-

chanie skórne, ułatwia dopływ powietrza do por. Skóra, która nie oddecha, staje się zmięta, wiotką i pomarszczoną.

Pozatem myć twarz należy koniecznie mydłem, mydło bowiem rozpuszcza tłuszcze i łój w skórze, umożliwia również oddechanie. Mydło jednak musi być bardzo dobre, wyrabiane z najlepszych tłuszczów i niezawierające środków chemicznych żrących, tak bardzo szkodliwych dla naskórka. Pozatem do mydeł dodawane są jeszcze olejki eteryczne i barwniki, które też mogą działać bardzo źle na skórę, np. drażniąco.

Mydła można używać w formie stałej, płynnej i w proszku. U fryzjerów np. daleko higieniczniejsze będzie mydło w proszku, niż w kawałku, już używanym.

O jakości mydła przedewszystkiem rozstrzyga tłuszczy, użyty do wyrobu.

Pozatem przy wyborze mydła często popełniane są zasadnicze błędy, nie zwraca się bowiem uwagi, czy dany gatunek jest odpowiedni do danego rodzaju skóry, a w wyborze kieruje się najczęściej opakowaniem, zapachem i wyglądem zewnętrznym mydła.

Ze względu na to, że skóra ludzka rzadko jest normalna, bywa albo zbyt tłusta, lub zbyt sucha, łuszcząca się, należy stosować mydła: 1) alkaliczne, 2) przetłuszczone i 3) neutralne.

Alkaliczne dla cery tłustej. Mydło to może być z jakimś zapachem, wybieranym odpowiednio do używanych perfum przez daną osobę. Pozatem są to mydła lecznicze, jak: mydło siarkowe, dziegciowe, ichtiolowe i t. p. Mogą one dać bardzo dobre wyniki, jednak nie radzę używać ich bez polecenia lekarza.

Przetłuszczone dla cery wrażliwej, delikatnej, suchej. Takie mydła również mogą być z zapachem róży, fiołka i t. p.

Neutralne do skóry normalnej.

Pozatem dobre są mydła lanolinowe, wazelinowe i ogórkowe. Glicerynowe jest bardzo dobre, zwłaszcza w płynie, ale nadaje się tylko dla skóry normalnej.

Dla dzieci najlepsze jest mydło rumiankowe, bardzo delikatne i antyseptyczne.

Używanie tylko wody bez mydła jest niedostateczne dla dokładnego oczyszczenia skóry, gdyż powierzchowne warstwy skóry są przesycone tłuszczem; woda zimna kroplami spływa, tylko zwilżając skórę.

Gorąca woda działa silniej, bo rozpuszcza naskórek, lecz i to jest niedostateczne.

Mycie twarzy spirytusem mydlanym w czasie łojotoku, doskonale odłuszcza skórę. Spirytusu mydlanego nie należy stosować dla skóry normalnej, bo zbyt wysusza.

Wogóle w doborze mydeł należy być bardzo ostrożną. Są bowiem skóry, które nie znoszą mydła absolutnie. Można próbować natychmiast po umyciu mydłem, smarować twarz kremem, lecz jeżeli ten zabieg okaże się niedostatecznym, należy mydła nie używać wcale, natomiast do wody dodawać boraksu lub sodę oczyszczoną — łyżeczkę na litr wody. Przytem należy zwracać baczenie uwagę na jakość kremu wogóle, a zwłaszcza w tych wypadkach, gdy skóra jest specjalnie wrażliwa i delikatna.

Oprócz mydeł, używamy dla pielęgnowania skóry tłuszcze roślinne, zwierzęce i mineralne, jak np. roślinne: oliwa, olejek migdałowy i t. p.; zwierzęce: tłuszcz wieprzowy, lanolina, wydobywana z owczej sierści; mineralne, jak: wazelina, która właściwie tłuszczem nie jest (uboczny produkt ropy naftowej). Wazelina jest biała i żółta. Biała nie zawiera resztek siarki — jest przez to lepsza. Wogóle jednak wazelina nie bardzo się nadaje, gdyż źle oczyszczona może bardzo podrażnić skórę.

Przy niektórych typach skóry, używanie tłuszczów jest koniecznym, bo chronią one skórę przed wysychaniem i opierzchnięciem. Tłuszcz więc ma za zadanie osłaniać skórę, chronić i rozmiękczać. Należy używać tylko tłuszcze świeże, stare bowiem drażnią skórę i powodują wypryski (kwasy tłuszczowe).

Jakich kremów używać i czy wogóle używać? jest to bardzo ważne pytanie.

(c. d. n.)

Dr. med. J. Świtalska



Ogólno polski zjazd ogrodniczy i wystawa we Lwowie

Wielkie wystawy nie są zjawiskiem pospolitem. Powtarzają się niezbyt często, a zwykle towarzyszą ważniejszym zjawiskom, jak obchodem, rocznicom, zjazdom i t. p. Bywają one różnego rodzaju: powszechne, dzielnicowe przedstawiają wszechstronnie wytwórczość pewnej połaci kraju; powszechne ogólnokrajowe ujmują rzecz szerzej i dają obraz tego, co kraj cały produkuje. Ostatnią wystawę powyższego rodzaju mieliśmy w r. 1906 w Częstochowie. Zakrojona pierwotnie znacznie skromniej — pomimo woli organizatorów rozrosła się dość okazała, bo kraj potrzebował terenu, na którym mógłby się wykazać intensywnością pracy. Prawda, że wystawa częstochowska nie ogarnęła nawet całego obszaru byłej Kongresówki, ale za to zobrazowała nieźle wszystkie pola jej produkcji. Było na niej reprezentowane i ogrodnictwo, ale usunęły je w cień potężne pawilony przemysłu maszynowego.

Oprócz wystaw ogólnych — miemy częściej wystawy specjalne, lub paru zawodów pokrewnych, zakrojone na większą lub mniejszą skalę. Lecz i takich wystaw ogólnokrajowych mieliśmy w ostatnich czasach niewiele. Wojna stłumiła wszelki ruch w tym kierunku, a po wojnie trzeba było rany leczyć. Nie było czem się chwalić.

Z odrętwienia wojennego pierwsze ocknęło się rolnictwo i ogrodnictwo, więc bądź siostrzarym złączone uściskiem, bądź które na własną rękę, zaczęły na widok publiczny wystawiać plony swej pracy.

Szczególnie obfitował w małe wystawki i pokazy lokalne ubiegły rok 1924. Było ich więcej nawet, niż w dawnych, przedwojennych czasach, bo i ogrodnictwo zaczęło się bujniej rozwijać, gdy go już gubić przestały protekcyjne taryfy przewozowe, mile widziany przez władze napływ „kacapów” i przywóz niehamowany.

Ale już od pierwszej chwili odrodzenia się wolnej Polski, poczuli ogrodnicy narówni z przedstawicielami innych zawodów, że im wypada w odrębnych, niż dotychczas, warunkach pracować; że się przed nimi otwierają szersze horyzonty; że mają nowe zadania do spełnienia. Wyrazem tej świadomości był pierwszy wszechpolski zjazd ogrodniczy, zwołany w r. 1922 do Warszawy.

Na nim wystąpiły wyraźnie różnice pomiędzy dzielnicami pokrajanej przez obcą przemoc ojczystej ziemi: różnice pojęć, różnice potrzeb i pracy — a równocześnie potężne dążenie dzieci jednej matki do ponownego poznania się, zblżenia i zbratania. Więc uchwalono, żeby na rok 1925 zwołać taki sam zjazd do Lwowa, a potem co lat 5 powtarzać zjazdy ogólne co raz w innym wielkiem mieście Polski.

Tegoroczny zjazd ogrodnicy we Lwowie nie obfituje w tematy, nie będzie pasmem różnorodnych referatów i rogiem obfitości wniosków i uchwał, niezawsze realnych, a jeszcze rzadziej w czyn przyoblekanych. Zostały wysunięte tylko dwa tematy zasadnicze, niezmierniej doniosłości i obchodzące ogrodników całego kraju. Dwa tylko — lecz omówione przez szereg referentów, a resztę dokonała dyskusja. Jeden z nich — to „Polityka ogrodnicza“; drugi — to „Organizacja pracy“.

Sam zjazd trwał 3 dni.

W niedzielę — 27/IX — zwiedzanie miasta i wystawy, popołudniu narady nad polityką ogrodniczą (sprawy ceł, taryf, kredytów i t. p.). W poniedziałek, — 28/IX — zwiedzanie miasta, ogrodów i wystawy, a po obiedzie referaty na temat organizacji pracy. We wtorek luźna dyskusja nad różnymi sprawami aktualnymi i zamknięcie zjazdu, który niewątpliwie przyczyni się do zjednoczenia dążeń ogrodnictwa polskiego i do wytknięcia mu kierunku dalszej owocnej pracy.

*

W związku ze zjazdem została urządzona pierwsza po wojnie wszechpolska wystawa ogrodnicza. Nad organizacją obu przedsięwzięć pracowało Małopolskie Towarzystwo Ogrodnicze z prezesem Stanisławem Piątkowskim, dyrektorem ogrodów miejskich we Lwowie, na czele. Protektorat przyjął minister rolnictwa, Stanisław Janicki.

Teren pod wystawę jest doskonały. Zajmuje ona część pawilonów targów wschodnich, spoglądających z wyniosłego wzgórza, ponad wierzchołkami strzelistych świerków parku Kilińskiego, na ścielący się u jego stóp gród Nadpełtwański, na dumny szczyt „Wysokiego Zamku“, na kopiec, co wieńczy mu skronie. Jest gdzie się rozłożyć: 37 pawilonów, zajmujących przeszło 10 tysięcy m. kwadr., z ogólnej przestrzeni 15 ha placu!

Wystawa została podzielona na 2 części: ekonomiczna (przemysłowa) i hodowlano amatorską. Pierwsza z nich zawiera tylko pro-

dukty, wytwarzane na wielką skalę, nadające się na wywóz, gdy w drugiej powinno się znaleźć wszystko, co ogrodnicy albo miłośnicy w Polsce hodują, albo co z ogrodnictwem ma związek.

Na taki podział wpłynęły z jednej strony interesy współczesnego stanu naszej wytwórczości ogrodniczej, z drugiej — położenie geograficzne Lwowa — na południowo wschodniej rubieży kraju, u granic państw, które mogą stanowić rynek zbytu dla naszych płodów ogrodniczych. Jest nadzieja, że oprócz nas, zainteresują się wystawą przedstawiciele krajów ościennych, a może nawet inni jeszcze cudzoziemcy, przywykli szukać polskich towarów na Targach wschodnich.

Bo może nie wszystkim wiadomo, że ogrodnictwo polskie już wyszło z okresu niemowlęctwa, że w niektórych dziedzinach już dziś wytwarza więcej, niż rynki wewnętrzne spożyć mogą, albo że wkrótce do tego stanu je doprowadzi. A nie pora szukać odbiorcy i wykuwać dla towaru nowe drogi, gdy produkt już leży gotowy, i to produkt, który przez leżenie traci na wartości lub ulega zupełnemu zepsuciu. Więc dział ekonomiczny wystawy we Lwowie obejmuje te gałęzie ogrodnictwa, których rozwój stanął na najwyższym poziomie, a zatem: szkółki owocowe — owoce surowe, warzywa, — przetwory z owoców i warzyw, — nasiona ogrodowe.

W chwili, gdy wszystkie wysiłki rządu i zdrowo myślących organów społeczeństwa, dążą zespolonym wysiłkiem do tego, żeby powstrzymać zachwianą walutę, a bierny bilans handlowy przekształcić na czynny, przychodzi ogrodnictwo polskie, i gromkimi „jestem“ odzywa się na lwowskiej wystawie. A głos jego mocny, bo soki życiodajne ciągnie z bogatej, polskiej ziemi, wspartej mocno stopami o Karpat szczyty, czerpiącej oddechem powietrze z nad fal Bałtyku, wydartych krwiożerczym Teutonem; więc choć z jednej strony zaarty krzyżak, a z drugiej bolszewik obmierzył na zębę Polski pracują, — ona rodzi smaczne owoce, dorodne warzywa i piękne kwiaty, nie tylko dla siebie,

lecz innych jeszcze niemi może obdzielić.

Ale nie tylko dział handlowy jest przewidziany na lwowskiej wystawie. Mogą w niej wziąć udział wszyscy, zawodowcy i miłośnicy, którzy ogrodnictwem się zajmują, albo pracują w dziedzinach, z niem blisko związanych. Cały ten dział jest podzielony na 9 grup następujących: 1) nauka i szkolnictwo, 2) warzywnictwo (z poddziałami dla ogrodników, dla miłośników i ogólnym), 3) owocarstwo i drzewka karłowe, 4) rośliny ozdobne (z poddziałami, uwzględniającymi nawet hodowle w mieszkaniach i w skrzynkach balkonowych), 5) przetwory z owoców i warzyw na użytek własny, 6) nasiona, 7) rośliny lekarskie i techniczne, 8) plany ogrodów i 9) technika.

Taka wystawa ma za zadanie nie tylko urozmaicenie całości i jej przyozdobienie. Ona pozwoli przekonać się — co w kraju naszym jest hodowane, a czego brakuje; co się udaje, więc zasługuje na poparcie i rozpowszechnienie, aby z czasem mogło stanąć w rzędzie artykułów wywozowych. Taka wystawa pozwoli nam policzyć się z siłami i kroczyć naprzód świadomie.

A choćby nie wszystkie działy jednakowo obficie były przedstawione, choćby miejscowości, bardziej odległe od Lwowa, z powodu przeżywanych obecnie trudności finansowych, nie stanęły do apelu, to jednak wystawa może wielu rzeczy nauczyć i dużo pokazać. Udział Małopolski jest zapewniony, a ona sama ma się czem popisać: z Zaleszczyk, będących polską Rywjerą, z Kossowa i innych okolic nadejdą wspaniałe owoce. Pobrzeże Sanu i szereg wsi pod Krakowem słyną z uprawy warzyw, we Fredrowie, w Garlicy, w Sassowie są doskonałe szkółki drzew, w większych miastach starannie utrzymane plantacje, w magnackich siedzibach — wspaniałe ogrody, a u włościan dużo sadów, racjonalnie założonych i pielęgnowanych, dzięki długoletniej, systematycznej pracy żywotnych i umiejętnie działających społecznych instytucyj zawodowych.

Wystawa trwać ma od 26 września do 2 października, więc trudno przesadzać, jakim się cieszyć będzie powodzeniem. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wpływ jej na dalszy rozwój ogrodnictwa w całej Rzeczypospolitej Polskiej będzie doniosły, a ważne sprawy, omówione na zjeździe, nie przebrzmia bez echa, lecz wpłyną na kształtowanie się warunków pracy i polityki ogrodniczej, zarówno wewnątrz państwa, jak i w stosunkach z sąsiadami.

Stan. Schönfeld



BAŻANT

Ptak ten, pochodzący ze środkowej Azji, a właściwie z Chin, gdzie żyje dziko wielkimi stadami, należy do rodziny grzebiących i jest z nich najpiękniejszym dzięki wspaniałym barwom i delikatnemu rysunkowi piór. Jak bardzo dawno bażant znanym jest w Europie, dowodzi podanie, które mówi, że przywiózł go z Kolchidy do Grecji, Jazon, wódz wyprawy Argonautów po Złote Runo. Arystoteles opisuje obszernie zwyczaj bażanta, a za cesarza Heljogabala w Rzymie spotykamy się ze wzmianką o wspaniałych stadach, sprowadzonych z Grecji, a zwanych bażantami, które tak się rozmnożyły, że karmiono nimi lwy w menażerji. Z innych krajów europejskich, ukazał się bażant naprzód w Anglii. W roku 1861 profesor Stubbs odnajduje w manuskryptach uniwersytetu Brytyjskiego spisy potraw z roku 1059, gdzie już figurują bażanty, jako wykwinne podanie, zjawiające się tylko na pańskich stołach. Zabijanie tych ptaków zakazane było surowo, uważane za zbrodnię, podlegało karze sądowej i plamiło honor myśliwego. Z Anglii dostały się bażanty do Francji i Hiszpanji a w ostatnich dziesiątkach lat zeszłego stulecia zainteresowano się bardzo tym ptakiem w środkowej Europie—zwłaszcza w Austrii i w Czechach, gdzie na dużych przestrzeniach zakładano dzikie bażantarnie i skąd ptak ten dostał się do Polski. Przed rokiem 1914 hodowla bażantów u nas bardzo była rozpowszechniona na większych i mniejszych przestrzeniach. Często zdarzało się, że hodowane w lasach wielkich dóbr bażanty, rozmnożywszy się, rozchodziły się po okolicy, biorąc w posiadanie krzaki i zagaje sąsiednie.

Wojna i wywołany przez nią brak poszanowania praw myśliwskich, które liczyłyby się bowiem z życiem ptaka, jeżeli lekceważono życie człowieka! wytepiła doszczętnie w niektórych okolicach bażanta. Jedynie dzielnica rozrąbana uważana przez stałych uzurpatorów za własność, a tem samem nie niszczone zachowała swoje wspaniałe bażantarnie. Powoli i u nas poprawiają się warunki i wkrótce prawdopodobnie powrócimy do dawnej obfitości.

Bażanty najlepiej hoduje się dziko, liczne próby przyswojenia i zrobienia z nich ptaków domowych, nie dały pomyślnych rezultatów. Pomimo, że bażant przynosiłby ciężkimi, zimowymi warunkami, podchodzi na dożywienie pod same mieszkania człowieka, jakby szukał u niego pomocy—nie przyswaja się

nigdy. Intelktualne zdolności bażantów są na ogół słabe, to też nie umieją uniknąć niebezpieczeństw, grożących im od ptaków i zwierząt drapieżnych, a pozbawione starań i opieki człowieka łatwo giną. W przeciwnym razie przyzwyczajają się do miejsca pobytu i szybko rozmnażają. Najchętniej przebywają w zagajnikach, zarośniętych wysokimi trawami, sąsiadującymi z obsianymi polami i mającymi wodę w pobliżu. Szkód na ogół nie robią, chyba latem w pokosach pszenicy lub kiełkujących zbożach w jesieni, ale to tylko, o ile ich jest wielka ilość a nie są dokarmiane. Bażancica jest niezaradna i opieszala w wyborze miejsca na budowę gniazda, które często dostępne bywa dla różnych szkodników. Spłoszona z gniazda kura zwykle opuszcza je—jaj szarozielonych niesie od 8 do 15 sztuk, z których po 24 dniach lęgną się pisklęta. Bażancica ma o nich dużo mniejsze staranie jak kuropatwa o swoje młódki.

Po sześciu tygodniach młode podfruwają już z matką na drzewa— a nocując na ich gałęziach bezpieczniejsze są od złych przygód. Bażanty przeciwnie, jak kuropatwy żyją w poligamji, a kogut nie troszczy się wcale o młode—pozostawiając całkowity tryb wychowania ich—matce.

Chcąc doczekać się pociechy z dziko chowanych bażantów, trzeba zawczasu przyzwyczajając je do miejsca, gdzie w jesieni zamierza urządzić się nagankę. W tym celu zaraz po żniwach trzeba sypać im pszenicę codziennie o tej porze i w tych samych miejscach. Idąc karmić bażanty trzeba uwabiać je jakimś zawsze jednakim sygnałem—głośnym gwizdaniem lub graniem na trąbce wciąż tej samej melodji, do sygnału tego ptaki łatwo przywykną—a usłyszawszy go zbiegną się natychmiast ze wszystkich najodleglejszych nawet stron. Jeżeli po odstrzeleniu zbytecznych kogutów chcielibyśmy sprowadzić kilka nowych sztuk dla odświeżenia rasy—musimy początkowo zamknąć je w walgierach czyli miejscach ogrodzonych i nakrytych drucianą siatką, gdzie karmi je się, posypując coraz bliżej furtki ziarna. Po czterech tygodniach zostawia się furtkę otwartą rospawszy pszenicę po za ogrodzeniem. Idąc karmić bażanty nie można brać psa ze sobą—nienawidzą bowiem psów, a niepokoje przez nie wynoszą się w dalsze strony.

Dorosły bażant waży około 1½ kg. Kogut ma wspaniałe różnokolorowe—metalowo mieniące się upierzenie—ogon długi, na który skła-

da się 18 klinowato rozłożonych piór.

Kura jest o wiele mniejsza i słabsza, suknię ma skromną, na ogół brunatno szarą z różnymi odcieniami. Mięso kury jest delikatniejsze i smaczniejsze jak koguta—ale ze względów hodowlanych jednak, myśliwskie przepisy kur strzelac nie pozwalają zwłaszcza na polowaniach z naganką. To też trudność wielką ma początkujący myśliwy w szybkim rozpoznaniu koguta od kury—zwłaszcza jeżeli ptak spłoszony naganką, jak strzała śmignie w górę, a tem samem naraźi słabo orientującego się dręczyciela na wstyd i karę pieniężną, o ile zabije bażancicę.

Na bażanty tak jak na kuropatwy, poluje się od września dla odstrzelenia zbytecznych kogutów, na późnej jesieni urządza się polowanie z naganką—oprócz tego w miarę ochoty i potrzeby, zwłaszcza jeżeli łęg był dobry, a warunki wychowania pomyślne, poluje się na bażanty z wyłłem.

Mięso z bażanta stanowi wykwinne pieczyście, podawane na największych przyjęciach. Naszpikowanego młodą słoninką i upieczonego bażanta dzieli się i zgrabnie układa w całość na podstawie z długiego płaskiego chleba, obsmażonego na fryturze. Nie oskubany łebek z szyjką na drucie, aby go można dowolnie wygiąć i ogon na drewnianych szpilkach przypina się po dwóch końcach, tworząc niby żywego ptaka. Półmisek przybiera się sałatą lub fryzowaną pietruszką, jest—to najwspanialsze podanie bażanta. Można go także podawać na zimno, wtedy wyjmuje się piersi, szpikuje, soli i piecze—resztę mięsa dusi się—obiera z kostek, przepuszcza przez maszynkę—doprawia solą i korzeniami, wlewa kilka łyżek auszpiku—parę łyżek madery i dodaje cienko pokrajanych trufli. To wszystko zagotowuje się raz jeszcze i zostawia do zastygnięcia. Następnie kraje się w cienkie plasterki piersi, układa w środku i otacza również pokrajany farszem. Zabawny choć źle świadczący o kulturze naszego ludu zwyczaj mają na Podlasiu—osmałonego żywcem koguta—ugotowanego następnie, nazywają bażantem i podają, jako przysmak na sutych weselach. Bażancie pióra tak z szyi, jak i ogona służą do wyrobu różnych fantazyj, do przystrojania kapeluszy damskich—a głowy i ogony, wyprawiane odpowiednio—umocowane na podstawach z sukna spotyka się rozwieszane, jako ozdoby na ścianach męskich gabinetów lub jadalnych pokoi.

Z PRZEDSIĘBIORSTW I ŚPIŻARNI AMERYKAŃSKIEJ

POMIDORY.

Pomidory są najpopularniejszą jarzyną w Ameryce i uprawa ich przynosi duży dochód. Fabryki konserw wysłały w zeszłym roku 15 milionów skrzyń, zawierających każda tuzin puszek pomidorów, a drugie tyle dały prywatne, domowe przedsiębiorstwa. — Wydział Rolny w Waszyngtonie ogłosił, iż na żądanie wysłał darmo parę broszur o uprawie i konserwach pomidorów i zachęca młode farmerki, które chcą mieć trochę własnego dochodu jako „Pin Money” — to jest „na szpilki”, żeby zajęły się tym przedsięwzięciem, korzystniejszym niż hodowla kurcząt i t. p. — Uprawa pomidorów jest łatwa, a przenośne maszyny do robienia konserw można mieć w cenie od 5 do 15 dolarów.

Broszura przytacza nazwiska i adresy kobiet które na małą skalę zaczęły „business” i cieszyły się dobrym zyskiem. Jedna z nich z małego zagonu sprzedawała świeżego owocu za 48 dolarów, a resztą zbioru napełniła 770 puszek konserw, których koszt wyrobu i opakowania wynosił 4 centy za puszkę, sprzedawała je zaś po 15 centów. — Inne, również cytowane, miały od 60 do 100 dolarów czystego zysku.

Broszura daje także praktyczne rady co do sprzedaży produktów: „W ostatnim tylko razie, mówi, udawajcie się do sklepów spożywczych i do kupców, którzy będą obliczać swój procent; starajcie się wejść w stosunki z domami zamożniejszymi, z klubami, z restauracjami a przede wszystkim starajcie się, by towar wasz był lepszym niż produkty fabryczne. I jeżeli rzeczywiście okaże się lepszym, nie będziecie miały trudności z jego zbytem”.

Oprócz konserw jest wiele innych przetworów, sosów i przypraw pomidorowych, bez których prawie żaden obiad obejść się nie może, a które łatwo można w domu przyrządzić. Następujące przepisy są najbardziej używane:

KETCHUP

- 2 garnce pomidorów.
- 8 łyżek stołowych soli.
- 1 łyżka pieprzu kajeny.
- 2 łyżki czarnego pieprzu (nie-tłuczonego)
- 6 łyżek gorczycy.
- 1 łyżka korzeni.
- 1 łyżka cynamonu w kawałkach.
- 1 łyżka goździków.
- 1 kwarta octu.

Dojrzałe, zdrowe pomidory oczyścić i gotować, aż będą zupełnie miękkie. Przeprasować przez gęste sito, żeby oddzielić skórkę i nasiona, i dodać sól i kajenę.

W rondlu z tym sosem zawiesić woreczek flanelowy, zawierający wszystkie korzenie i gotować na dużym ogniu do gęstości. Wlać wtedy ocet i znów gotować, dopóki wylawszy trochę na spodek, woda nie będzie się oddzielać. — Wyjąć woreczek z korzeniami, zlać płyn do butelek, zakorkować i zalepić na gorąco. — Jeżeli jest parafina, rozpuścić potrzebną ilość w rondelku, przewrócić butelkę i zanurzyć korek i część szyjki.

KETCHUP 2-gi sposób

- 2 garnce soku z pomidorów.
- 1 łyżka imbiru
- 2 łyżki utłuczonych goździków.
- 1 łyżka korzeni
- 1 łyżka cynamonu.
- 1 łyżka pieprzu.
- 2 łyżki utartego chrzanu.
- 2 łyżki soli.
- 1 łyżeczka pieprzu kajeny.
- 2 funty melasy.
- 1 kwarta winnego octu.

Dojrzałe, oczyszczone pomidory rozgotować na masę, przeprasować, i do dwóch garncy otrzymanego soku włożyć wszystkie korzenie, sól i ocet i gotować do gęstości. Dodać cukier, zamieszać, zlać do słoików lub butelek i zalepić na gorąco.

RELISH. (Przyprawa.)

- 15 pomidorów.
- 6 kwaśnych jabłek.
- 6 cebul.
- 2 łyżki soli.
- 3 strączki zielonego pieprzu.
- albo 1 łyżkę czarnego pieprzu.
- $\frac{1}{3}$ łyżeczki kajeny.
- 1 kwarterka octu.

Sparzyć i obrać ze skórkę pomidory, a obrać i pokrajać jabłka, cebulę i strączki pieprzu, wszystko razem drobno posiekać i włożyć do dużego rondla, dodając sól, kajenę, pieprz i ocet. Postawić na og-

niu i gotować przez 90 minut od chwili zagotowania. — Zlać w słoiki lub butelki i zalepić na gorąco.

SOS CHILI

- 24 pomidory.
- 2 strączki pieprzu tureckiego
- 2 strączki pieprzu zielonego.
- 2 spore cebule.
- 2 łyżki soli.
- $\frac{1}{2}$ szklanki melasy.
- 2 łyżeczki korzeni.
- 2 łyżeczki goździków.
- 2 łyżeczki cynamonu.
- 2 łyżeczki utłuczonego imbiru.
- 2 łyżeczki utłuczonej, muszkatołowej gałki.

1 kwarta octu.

Sparzyć i obrać ze skórkę pomidory, posiekać je razem z cebulą i strączkami pieprzu, włożyć do rondla, zalać octem, dodając wszystkie korzenie, sól i melasę, i gotować, aż masa zgęstnieje, — mniej więcej godzinę, często mieszając, żeby się nie przypaliła. Zaraz zlać do słoików i zalepić.

PICALILLY

- 2 garnce zielonych pomidorów.
- 2 kwarty cebuli.
- 5 strączków tureckiego pieprzu.
- 4 łyżki całych korzeni.
- 4 łyżki goździków.
- 4 łyżki cynamonu.
- 2 szklanki cukru.
- Sól i ocet.

Pokrajać drobno pomidory, cebulę i strączki pieprzu, i układać warstwami w kamiennym słoju, przesypując każdą warstwę solą. Zostawić tak przez noc, rano odcedzić, włożyć do rondla, dodając wszystkie korzenie, cukier i szklankę soli, dobrze przycisnąć i zalać octem, tak żeby były całkiem pokryte. Gotować do miękkości, zlać gorące do słoików i zalepić.

MASŁO POMIDOROWE

- 7 funtów pomidorów.
- 4 funty melasy.
- $\frac{1}{2}$ szklanki octu.
- 1 łyżka cynamonu.
- 1 łyżeczka goździków.
- 1 łyżeczka imbiru.

Zdrowe, dojrzałe pomidory, sparzyć, obrać ze skórkę, pokrajać na kawałki i gotować, aż zmiękną. Dodać melasę i gotować na wolnym ogniu, aż masa stanie się bardzo gęsta. Dodać ocet i korzenie i gotować jeszcze przez kwadrans. Złożyć gorące do słoików i zalepić. Szczególnie dobre do mięsa i zwierzynyn.

Kazimiera Dziekońska.



KŁOPOTY JESIENNE

Tej jesieni żyjemy wszyscy pod znakiem „braku pieniędzy,” doprowadzenie więc mieszkania i ubrania do porządku przed zimą sprawia specjalnie dużo kłopotu.

Zima ta ma być ostra, bardzo ostra. Kto o tem pierwszy zacydował, właściwie niewiadomo, ale wszyscy wszędzie to powtarzają i w końcu tak suggestjonują nawet niedowiarków, że zaczynają i oni już teraz drzeć na myśl o przyszłym zimnie.

Otóż, jako obecnie warszawianka, muszę przedewszystkiem zwrócić uwagę innych mieszkank stolicy, że tajemnica połowy warszawskich, zimnych mieszkań leży w źle dopasowanych i zakitowanych szymbach, szczególnie z słońecznej strony, kit tak wysycha, że się zupełnie wykrusza i odstaje, i mróz i wiatr wciskają się przez te szczelinki i wydmuchują nam to cenne, drogim węglem, a droższą pracą zdobyte ciepło. (Widząc przynoszenie węgla, niechętnie palenie w piecach, jeszcze niechętniejsze oczyszczanie palenisk z popiołu radziłyśmy uniknąć tego za wszelką cenę.

Sprowadzenie w czas szklarsza z paru lub kilku kilogramami kitu, zaoszczędzi masę węgla, a może nawet kilku katarów, bólów gardła, — ba, może nawet jaką influencję, czy inną jaką hiszpankę.

W Warszawie nie jest znana taśma gumowa, gruba, którą obijano brzegi okien i drzwi balkonowych w Petersburgu. Zamykała ona tak szczelnie wszelkie szczeliny, że nawet przy tamecznym ostrym klimacie i mrozach dwudziestokilkostopniowych, nie zaklejano balkonów na zimę. W Warszawie używają tylko wałeczków waty. Lepsze to, niż nic; należy jednak okno założone watą dla pewności okleić szerokim paskiem papieru. Nieładnie to wygląda, pod firanką tego jednak nie widać, a papier lepiej chroni od przewiewu, niż kit, który zawsze po przeschnięciu kawałkami się wykrusza. Do balkonów dobrze jest zrobić długi sienniczek, który umieszczamy na ziemi, między podwójnymi drzwiami; zmniejsza to znacznie wianie po nogach.

W mieście odświeżaniem mieszkań, właściwie malowaniem ścian, zajmują się więcej lub mniej, — raczej mniej wykwalifikowani specjaliści, którzy zdzierają po kilkadziesiąt złotych od pokoju za wypacanie na różowo, niebiesko, popielato lub kremowo ścian, zdobywając je przez rysunek, w tekturze

wycięty jakimś ciemniejszym szlakiem. Panie na wsi, mając robotnika sezonowego, mogą takie odświeżenie wykonać bez specjalnego majstra.

Używa się na to tak zw. „ton,” rodzaj glinki kredowej. Na średni pokój bierze się 4—5 kilo tego tonu, kosztującego po 10 groszy kilo, a pół kilo mąki żytniej gotuje się na zwykły kłajster, rozpuszcza w wodzie sto gramów kleju malarzkiego, dodaje garść soli i nieco sady, ultramarynu, karminu, sieny, ochry, lub innej farby w proszku, zależnie od tego, jakie zabarwienie ścianom dać chcemy.

Ściany i sufit należy oskrobać starannie skrobaczką żelazną z danej potrzeby, poczem pendzlem lub szczotką do szorowania, osadzoną na długim kijku, zmywa się je starannie mydłem szarem, rozpuszczonym w wodzie letniej.

Po umyciu ścian, okna i drzwi się roztwiera, aż ściany dobrze przeschną. Ton rozprowadza się zimną wodą do gęstości żuru, dodaje klej, sól i kłajster i tą białą masą smaruje się raz po razie sufit i górną część ściany.

Teraz dodajemy farbę, mieszamy starannie i tą kolorową zaprawą pociągamy równo, raz po razie, całą ścianę. Po wyschnięciu przy otwartych oknach, widzimy, czy kolor jest równy. Gdyby były widoczne pasy, należy jeszcze raz całą ścianę pociągnąć, aby ją zrównać. Gdy nasza malatura zupełnie przeschnie, bierzemy kartonowy pas z wyciętym deseniem szlaku (można dostać za kilkadziesiąt groszy w każdej mydlarni), przykładamy równo na połączeniu części kolorowej ściany z częścią białą i równo przeciągamy pendzlem farbę gęsto rozprowadzoną z dodatkiem kleju i kłajstru. Ażeby sobie ułatwić tę procedurę, należy wpięrcz długą linją i ołówkiem naznaczyć miejsca, gdzie mamy przykładać karton.

Sądę, że nie jedna z pań miejskich, chcąc odświeżyć jakąś kuchnię, korytarz, czy łazienkę, zechce poprobować tego sposobu. Nieco się ochlapie ona sama, lub zachęcona jakim podarunkiem służąca, — lecz odnowienie będzie kosztowało zamiast 30 do 40 zł. jakieś cztery do pięciu złotych najwyżej, a farba będzie mocno się trzymała, — bo ci panowie malarze, zarabiający po kilkadziesiąt złotych dziennie, nie mają sumienia za grosz i oszczędzają jeszcze

na kleju i soli, i ich malowanie łupie się, odpada i wala ubranie.

Jeżeli mamy stare mahonie, weźmiemy na szmatkę wełnianą nieco zwykłego oleju jadalnego i zaczniemy je wycierać, aż wszelki brud zniknie i powierzchnia nabierze połysku. Wszelkie inne meble politurowane możemy doprowadzić do świeżości i połysku następującą masą: cztery części wosku pszczelnego i jedną część kałafonji rozpuścić na wolnym ogniu; gdy napół przestygnie, dodać jedną część olejku terpentynowego, wymieszać i dać stężeć. Tej masy się nabiera na kawałek sukna i oczyszczone wpięrcz wodą z mydłem z kurzu i brudu meble naciera do sucha, poczem poleruje suchym, wełnianym gałgankiem, aż nabiorą połysku.

Meble dębowe, woskowane, naciera się woskiem czystym, rozpuszczonym w terpentynie i wyciera suchą, wełnianą szmatą do sucha.

W taki sposób zrobimy poważną oszczędność na stolarzu.

Zamiast kupowania gotowej zaprawy do podłóg, możemy ją za połowę ceny przyrządzić w domu. Bierze się wosk pszczelny lub też ziemny (cerezyna), rozpuszcza na ogniu, na zakrytej fajercie, aby się nie zapaliło, odstawia od blachy, dolewa prostej terpentyny, licząc na kilo wosku, litr terpentyny; stawia napowrót na blachę i mieszając, ponownie rozgrzewa. Zdejmując z ognia, dolewa pół li ra benzyny i miesza kopystką, aż masa zupełnie zastygnie i stężeje. Przechowuje się, jak zwykłą zaprawę w blaszankach. Taka zaprawa ma tę zaletę, że przy czyszczeniu usuwa plamy tłuste, tak częste w jadalniach.

Najładniej wyglądają posadzki zaciągnięte czystym woskiem, desenie na nich są najbardziej widoczne. Chcąc jednak mieć zaprawę kolorową, należy, gotując wosk z terpentyną, dodać do niej nieco ochry lub gumigutu.

Umywalki, łóżka żelazne, meble kuchenne, malowane na białe, można też odświeżyć w domu bez pomocy majstra. Należy papierem szklanym obetrzeć nierówności, pozostałe po starej farbie, wyszorować dobrze cały przedmiot wodą z mydłem i twardą szczotką, wytrzeć do sucha i potrzymać jeszcze dwadzieścia cztery godziny, aby jak najdokładniej wyschły. Kupić pudełko białej lakoliny, lub innej farby, prędko schnącej i krót-

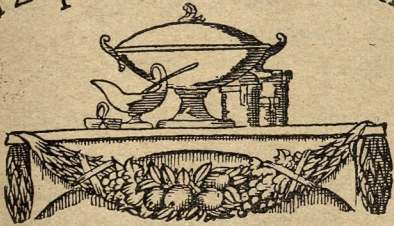
ki, twardy pendzel. Brać farbę na pendzel i nacierać przedmiot raz przy razie, biorąc na raz jak można mniej farby. Po 24 godzinach, gdy farba nieco zaschnie, powtórzyć malowanie w odwrotnym kierunku, to jest, jeśli przeciągaliśmy po raz pierwszy pendzlem wzdłuż, po raz drugi pociągniemy w poprzek. Przedmiot wysuszony dobrze będzie wyglądał jak nowy.

Takim samym sposobem możemy pomalować kosze do kwiatów, podobrane brzegi drzwi i okien i temu podobne białe przedmioty. Może nie zrobimy tego tak ładnie, jak zawodowy malarz, ale oszczędność będzie duża.

W następnej pogawędce postaram się zebrać sposoby taniego, a praktycznego odświeżania futer i garderoby.

Pani Elżbieta.

Przepisy gospodarskie



PASZTET Z BARANINY (na 12 osób)

Szklanke śmietany, ćwierć kilo tłustego, solonego masła lub świeżego szmalcu, kilo mąki i łweczke soli zagnieść na ciasto dające się dobrze wałkować. (Ilość dokładu mąki zależy od jej suchości, może jej do tej ilości tłuszczu wyjść nieco mniej lub więcej) Dwa funty szynki wędzonej (800 gm) lub boczku, ugotować na miękko, gdy już na wpół gotowe włożyć trzy funty (kilo i ćwierć) tłustej baraniny od łopadki lub mostka, włożyć gotując trzy spore pietruszki, trzy cebule, trzy pory i jedną marchew. Gdy mięso i włoszczyzna zupełnie miękkie, wyjąć je i ostudzić, wsypać do rondla ćwierć kilo polerowanego ryżu, zalać tłustym rosołem, wymieszać, wrzucić kilka ziarn pieprzu, ziela i listek, i dusić na wolnym ogniu, aż ryż się stanie zupełnie sypki. Ciasto rozwałkować jak najcieniej, pokryć niem metalowy półmisek, pozostawiając po brzegach dwa razy taką ilość ciasta,

na półmisku układać baraninę, pokrajaną w plastry nieduże także pokrajaną szynkę, drobno pokrajaną włoszczyznę i ryż, układać warstwami, formując zręczną kopułę. Ciasto zebrać u góry w zręczny węzeł lub kulkę, posmarować jajkiem i wsadzić w piec na trzy kwadranse. Podawać bardzo gorąco. Z pięciu czy sześciu pomidorów uduszonych z masłem i przetartych przez sito, sporej łyżki mąki i pozostałego rosółu zrobić sos, zaprawić łyżką śmietany i podać do pasztetu w sosjerce.

SUFLET „CRÈME BRULÉE“

Dwie łyżki kryształu zrumienić na patelni na karmel, uważając, aby nabrał tylko ciemno-żółtostego koloru, a nie spalił się na czarno, wlać kilka łyżek zimnej wody i mieszać drewnianą (a nie metalową, boby się stopiła) łyżką, aż się zupełnie rozpuści. Pięć żółtek utrzeć do białości z dużą szklanką cukru, rozprowadzić trzema szklankami mleka, postawić na blasze i ogrzewać, miesząc wciąg, aż się zaciągnie, to jest znacznie gęstnieć, nie dając jednak zawrzeć, boby się zwarzyło. Do tej masy dodać tyle karmelu, aby nabrała koloru mocnej kawy z mlekiem i zastudzić. Na pół godziny przed podaniem, ubić z pięciu białek bardzo sztywną pianę, zmieszać z żółtkową masą, ułożyć w zgrabną kopułę na wysmarowany niesolonem masłem, metalowy półmisek, osypać po wierzchu kryształem i wstawić w niezbyt gorący piec dla zrumienienia. Podawać natychmiast po wyjęciu z pieca, aby nie opadło. Trzeba przytem pamiętać francuską kuchenną maksymę: „Nie suflety winny czekać, lecz na nie czekać należy“.

Pani Elżbieta.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkanie 3.

Telefon 102-77

DOBRE RADY

Lakierowanych mebli, drzwi i okien nie należy nigdy czyścić ani benzyną, ani terpentyną, bo się lakier od niej rozpuszcza. Od wody z mydłem lub sodą traci połysk. Obcierać wilgotną ścierką lub myć czystą wodą z amoniakiem. Jeśli lakier zmatowany — po dokładnym obmyciu, jak wyżej, i zupełnym wysuszeniu — pociągnąć czystym lakierem.

* * *

Meble kryte skórą czyścić miękką szmatą, zwilżoną terpentyną, lub niezbyt mocnym octem. Po wyschnięciu wytrzeć je powtórnie gałgankiem, maczanym w białku, rozbitym aż do zapienienia.

Zmatowane skóry na meblach wycierać do suchości oliwą, zmieszaną z octem, będą jak świeże.

Korespondencje działu praktycznego

Z. Rz. Miłabędz

W odpowiedzi list wysłany.

„A“

Przy poceniu się nóg, należy je utrzymywać przedewszystkiem w wielkiej czystości, a następnie polecić mogę wymoczenie od czasu do czasu w wodzie gorącej z dodaniem łyżki formaliny na miednicę wody.

Co do włosów, odsyłam Panią do mego artykułu o włosach w „Bluszczu“ — gdzie znajdzie Pani wyczerpujące wskazówki ogólne. Indywidualnie, nie widząc pacjentki, nie mając żadnych danych, nic się poradzić nie da.

„Szarotce“

Wskazówki wyczerpujące o ogólnej pielęgnacji włosów znajdzie Pani w „Bluszczu“ w artykule moim o włosach.

Cerę tłustą, łojotokową należy myć w wodzie ciepłej, nacierając na noc spirytusem salicylowym 1% — a na rano po umyciu stosować odrobinę kremu, lekko pudrując czystą mączką ryżową. Parowanie twarzy też jest wskazane.

W tych kwestjach odsyłam Panią do mego artykułu o cerze, który w tej chwili drukuje „Bluszcz.“



„Zmartwionej matce“

Leczyć w domu tę dolegliwość się nie da. Radzę Pani udać się z dzieckiem do gabinetu leczniczego doktorów Wizła i Markuszewicza w Warszawie, Elektoralna 11.

Maria W.—Działdowo

Na miejscowe schudnięcie nic poradzić nie można. Ogólny masaż przy odpowiednim trybie życia: ruchu, sportach, spacerach i odpowiednim odżywianiu się — mało tłuszczów, słodczy, płynów, ciast, wpływa znakomicie na schudnięcie

O wypryskach na twarzy i plecach trudno coś stanowczego powiedzieć, bo nie podała Pani żadnych szczegółów.

„Zuli“

Tłuste włosy to istotnie jest plaga. Niech Pani przeczyta w „Bluszczu“ artykuł mój o włosach.

Znajdzie tam Pani wyczerpujące ogólne wskazówki o pielęgnowaniu włosów. Po za tem posyłam Pani receptę:

Resorcini+sulfidol na 10,0

spir. camph. 20,+ spir. vini rectef. 100

nacierać co dzień przez 2 tyg. przerwa 5 cio dniowa, umyć włosy podczas przerwy—znów 2 tyg. nacierać; c. d. odpowiedź A. B.

Łomża, skrzynka pocz. Nr 31

Odpowiedź listownie wysłana.

A. B.

Włosy tłuste zwykle i cera tłusta, przeczytać pilnie moje artykuły o pielęgnowaniu włosów, następnie o cerze. Co do włosów tłustych, dołączam receptę „Zuli“ — proszę po trzykrotnem dwutygodniowem nacieraniu, zmywać włosy płynem przepisanym, co dwa tygodnie; następnie wycierać włosy conajmniej 2 razy w tygodniu spirytusem z resorcina — receptę podaje:

Resorcini 2,0

spir. vini rectef 200,0

z zewnątrz 2 razy w tyg. masaż włosów i twarzy byłby najstosowniejszym lekarstwem i zupełnie radykalnym.

„Odpowiedź Halince“

Myć zęby należy dwa razy dziennie proszkiem zw. „Dentolin“ Karpiańskiego. Natomiast płukać koniecznie potrzeba ponadto eliksirem Dentolin, również dwa razy dziennie 10 kropeł na szklankę wody. To ostatnie pielęgnowanie daje ładny kolor zębów.

* * *
Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów, nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu“.

Opis sukien i robót do Nr. 41

786. Suknia z popielatego sukna, przybrana białym rypsem i szenszylami

787. Suknia z crêpe marocain koloru hawanna. Pas ze złotej skórki.

788. Suknia balowa z crêpe de chine'u w dwóch cieniach lila, przybrana paciorkami koloru ciemniejszego materiału.

789. Suknia z jedwabnego trykotu, przerabianego w deseń. Pasek ponsowy.

790. Suknia z tafty gładkiej i kraciastej, góra plisowana.

791. Kostjum z granatowego kasha, przybrany skunksami.

792. Suknia z wełny, przerabianej w kratkę. Płaszcz z czarnego aksamitu, przybrany popielatym lise.

793. Palto z brązowego materiału, przerabianego w kratkę, przybrane futrem.

794. Suknia z granatowego welwetu, przybrana futrem.

795. Suknia balowa z różowej georgette'y, przybrana różyczkami z tego samego materiału z aksamitnymi listkami.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

796. Suknia z popeliny fraise, przybrana haftem.

797. Wzór na serwetkę, wyszytą ścięciem pocztowym. Wielkość naturalna.

798. Wzór na lauffer Haft richelieu. Wielkość 130×43.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . . . zł. 3.50
suknia zwyczajna . . . „ 2.50
bluzka . . . „ 2.00
formy dziecinne . . . „ 2.00
bielizna . . . „ 1.50

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skutecznie niać na blankietach czekowych P. K. O

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

ZOFJI Z. S. Najlepszym środkiem do rąk jest PÂTE DE PRELATS. Nawet najwięcej zniszczone i zaniedbane ręce, doprowadzi Pani do porządku w bardzo szybkim czasie, stosując PÂTE DE PRELATS. Po każdym umyciu rąk wetrzeć cokolwiek kremu PÂTE DE PRELATS (wciera się do sucha). Aby przytem ręce wybielić, dobrze jest przypudrować grubo na noc wybielającym pyłkiem JUVENIA CANDIDA. Stosując te środki, będzie Pani mieć rączki stale gładkie, delikatne i białe.

P. MARYLI. Śnieżną białosc zębom nada Pani, używając do mycia zębów proszku ALBOL. Naturalny kolor i świeżosc nadaje ustom płyn Rosein, który się nie ściera i nie plami.

PANI K. S. Aby uniknąć pryszczycy na twarzy i zapobiec tworzeniu się zmarszczek, radzę myć twarz na noc w letniej wodzie OTRĄBKAMI ABARIDOWEMI, a po umyciu w wilgotną jeszcze twarz wcierać cokolwiek KREMU ABARID i przypudrować PUDREM ABARIDOWYM. Ręczę, że w krótkim czasie twarz się wygładzi i nabierze młodzieńczej świeżości. M me Er ced è s